

TYGODNIK ILLUSTROWANY



STUDYUM

JAN HOLEWIŃSKI

JÓZEF WEYSENHOFF:

ROZMOWY LITERACKIE

NOWA ESTETYKA.

Pozostawiam w tytule to nieściśle zestawienie wyrazów, bo właśnie o nieściśłych pojęciach mam zamiar mówić.

Estetyka nie może być „nowa” w znaczeniu „inna, niż stara”. Nauka ta, mało dogmatyczna, trudna do skodyfikowania, jest przecie ewolucyjnie jedna od urodzenia swego i opiera się na pojęciach, wyrobionych przez ludzkość, a wyrastających z jednego pnia, ze zmysłu piękna i brzydoty, który możnaby porównać do biblijnego drzewa wiadomości złego i dobrego.

Olbrzymie drzewo piękna wspólną jest własnością przynajmniej rasy białej. Najnowsze jego odrośle podlegają dyskusji: dawniejsze i odwieczne, o ile nie uschły, nabrały, rzecz można, rodzicielskiego dostojęstwa względem młodszych.

Nie moglibyśmy inaczej zrozumieć piękności Mahabharaty, ani psalmów Dawida, ani nawet mistrzów wczorajszych, Goethego, Mickiewicza, Słowackiego, gdyby nie przypuścić ewolucji idei piękna i stałego jej zastosowania do naszych nieśmiertelnych gustów.

Ale teoria ta zbyt jest prosta i pojemna, aby starczyć mogła na wyłómaczenie wszelkich prądów i okazów np. literatury nowonarodzonej. Nie trzeba tylko nigdy tracić z oczu tej, którąbym nazwał „wielką estetyką”. Z nią najprzód należy się liczyć, czyli zestawiać dzieła najnowsze z analogicznym szeregiem poprzednich.

Inną zasadą krytyczną jest stwierdzenie w danym dziele stosunku zamiaru twórczego do wyniku. Aczkolwiek zamiar autora nie bywa zawsze na wierzchu dzieła, a czasem trudno jest uchwycić, jednak krytyk całą swą przenikliwość musi wysilić, aby zamiar ten wyłowić i sprawdzić, jak został wykonany. Zresztą, doskonałość stosunku zamiaru do wyniku, czyli do wrażenia—należy już także do kardynalnych i odwiecznych zasad „wielkiej estetyki”.

Brak syntetycznego zamiaru w dziele sztuki jest gorszą jeszcze wadą, niż t. zw. tendencyjność, czyli zbyt domieszka obcych sztuce zamiarów. Obie wady są dla dzieła zabójcze. Ale podczas gdy tendencyjnością nazywają często dowolnie i pogardliwie silny zamiar społeczny, który może wybornie z dziełem sztuki być połączony, brak lub chwiejność woli artysty w prowadzeniu dzieła do jednolitego i skutecznego wrażenia uchodzą w tych czasach za dozwolone, a bywają i wychwalane—wprawdzie przez marnych chwalców—jako zalety. Tę rozpowszechnioną i zakaźną wadę nazwałbym w poprzednich moich rozmowach „lenistwem myśli”.

Lenistwo myśli podkreślałem w twórczości Wyspiańskiego, wyłączając niektóre dzieła; zauważyłem je i w upodobaniach części publiczności. Należałoby teraz dodać najświeższe spostrzeżenia o rozpaczliwym niedołęstwie myśli grafomanów, dopuszczonych

do wyrokowania o literaturze. Ale tymczasem pilno mi do rozmowy z krytyką poważną i z czujną na piękno publicznością.

Jeszcze jednym zadaniem krytyka jest zauważyć, co dany autor przynosi do literatury, na czym polega nowość utworu, gdyż bez nowości niema dzieła talentu ani pomnożenia rozrostu drzewa piękna. Kopie i naśladownictwa nie utrzymują się długo. Były i są zawsze uważane za pseudo-literaturę.

Przemózny instynkt pcha ludzkość do nowości, a mówiąc ściślej, do ewolucji w kierunku doskonałości. I w sztuce nowość pociąga, olśniewa, czasem oślepia. Działa na twórców, jako pokusa, i na publiczność, jako przynęta. Ale z tej atrakcji, którą nazwać można wrodzonym parciem do wzrostu, rodzą się i owocne rozwoje, i chwilowe zwyrodnienia. Nie byle jaka bowiem nowość jest postępem w sztuce, tylko *nowość ewolucyjna*, oparta na dobytках dawnych, na wyrobionych pojęciach piękna, nie sprzeczna z temi pojęciami, ani marnująca ich dla niebywałości form, lub wrażeń. Taką np. nowość ewolucyjną podkreśliłem w pieśni Kopnickiej.

Dodam tu dla ilustracji mego poglądu jeden szczegół z królewskiego skarbu, którym Juliusz Słowacki obdarzył mowę polską. Forma oktawy, nie przez nas wynaleziona, używana była w Polsce oddawna z powodzeniem choćby przez Piotra Kochanowskiego, a już bardzo świetnie przez Krasińskiego. Tę formę gotową otrzymał Słowacki, napisał oktawą „Beniowskiego”, „Króla Ducha” i z niej to sobie zbudował ów „pomnik, pisany głoskami, z napisem *Patri Patriae*”. Dzisiaj już mało kto pamięta, że ta sama jedenastozgłoskowa oktawa była „złożoną miedzią” w wytwornych rękach biskupa warmińskiego. Jest ona już dla nas oktawą Słowackiego, klasyczną niemal w tem genialnym przeobrażeniu formą nowego eposu. A jednak zasadniczo to forma dużo starsza.

Na twórczości Słowackiego, najbardziej „słowiczej” w pieśni, najbarwniejszej w „mozaice”, można długo wykazywać, co znaczy nowość w literaturze, nowość ewolucyjna. Jest to przecie mistrz, który brał bez wahania formy i całe obrazy i pomysły cudze, ale je tak przekształcał tchnieniem swego geniuszu, że tworzył z nich własne, dzisiaj nasze, arcydzieła. Jedyny wyjątek stanowią może niektóre (nie wszystkie) pożyczki od Szekspira. Angielski Tytan okazał się czasem w swych wynalazkach dramatycznych nie do przerobienia.

Doświadczona to przez wielu pisarzy trudność: korzystanie ze zdobyczy mistrzów. Mistrz tylko nowy potrafi wziąć zasadniczy ton lub szkic zamiaru cudzego i wetchnąć w nie swego własnego ducha, doprowadzić dzieło do ekwiwalentu albo wzór prześcignąć, a przedewszystkiem, pomimo analogii, stwo-

rzyć dzieło własne, czyli nowe. Mniejszy talent, zabawiający się przetwarzaniem, do-rabianiem i parafrazowaniem dzieł wielkich, uwydatnia zwykle swą niższość w tych próbach.

Mówiąc o laurach, nieproporcjonalnie szafowanych Wyspiańskiemu, wyliczyłem tylko drobną część wypadków, w których Wyspiański nie dorasta do wyraźnego zamiaru konkurencyjnego z ogromnymi wzorami. Przykładów powtarzać, ani mnożyć nie myślę.

Dawno to spostrzegli pisarze przezorni, że zbyt blizkie przysuwanie się do mistrzów jest niebezpieczne, że wreszcie ta metoda tworzenia jest wyjątkowa. Dochodzące do samowiedzy talenty mają zazwyczaj popęd do nowości zarówno treści, jak formy, chociaż korzystają zawsze ze zdobyczy wielkich ojców, które przesaczyły się, rzecz można, chemicznie w mowę i w pojęcia o pięknie. Każdy duchowy potomek Apollina dąży instynktowo do rozwoju swej rasy, pragnie ją pomnożyć przez swą odrębną, a przecie atawistyczną indywidualność.

Każdy więc pisarz—powiedzmy: poeta—szuka swojej nowości, a od tego, *jaka* nowość znajduje, zależy jego wartość dla literatury krajowej i powszechnej. Nie byle jaki wynalazek pisarski godzien jest artysty. Są i oryginalności, poprostu buntownicze przeciwko starym prawom, a wystawiające tematy i formy dlatego tylko nowe, że sprzeczne z ustalonymi pojęciami o pięknie. Są i nowości literackie, polegające na schlebianiu przewrotnym gustom leniwych lub zepsutych czytelników. Są inne, zrobione w celu zadziwienia czytelnika, a przez to samo zyskania dla autora stanowiska maga, nie odgadnionego jeszcze proroka. Ale największa chyba ilość dzieł, z taniego, choć nowego materiału budowanych, przypada na pisarzy-hołdowników mody.

Moda, pojęcie, stosowane zwykle do zewnętrznych form życia, płynie, zdawałoby się, z tego samego źródła, co sztuka, ze zmysłu piękna i z dążenia do nowości. Ale jest zwykle parodią zmysłu piękna. Zmienna i niekonsekwentna, rodzi się głównie w danej chwili dziejowej, jako doraźny protest przeciw przesadom i ułomnościom chwili poprzedniej. Moda jest nadąsaniem jednego pokolenia przeciw drugiemu, jeżeli nie prostym podstępem fabrykantów zarówno książek, jak kapeluszy. Tylko w kilku wyjątkowych epokach rozkwitu sztuki moda szła niemal równoległe ze zmysłem piękna. W Atenach za Peryklesa, w Rzymie i Florencji za czasów Odrodzenia wielka sztuka była zarazem modna. Wogóle moda, chociaż i nie walczy ze sztuką, mija się z nią, przesadza lub nie dociąga, jest sezonową estetyką drobnych umysłów. Ale moda kusi np. producentów literatury, bo płaci brzęczącą monetą i równie miło brzęczącą chwałbą w żywe oczy.

Ulegając tej pokusie, tworzą liczni autorowie, którzy chcą przedewszystkiem sprzedać się i podobać. Także inni, wyższej już wartości moralnej, ale niezbyt silni, obserwują, zamiast głębszej istoty swojej i społeczeństwa, efemeryczne upodobania i skłonności swoje i cudze, pozwalają się kołysać





OSTATNIE AKORDY CHOPINA
Z Salonu T. Z. S. P.

JÓZEF MĘCINA KRZESZ

bezkrytycznie swym snom twórczym i „sen o dziele zamiast dzieła” dają publiczności, a ta częstokroć takie niegotowe, leniwe płody przynosi nad utwory, wymagające silniejszego namysłu.

Tego rodzaju produkcje literackie popiera i zachęca grupa modnych krytyków, zwłaszcza teatralnych. Modą stało się mierzenie wyłącznie siły emocjonalnej omawianego dzieła, bez względu na to, jaki jest gatunek tej emocji. Zdawałoby się niepotrzebnym dowodzić, że wrażenie w teatrze można osiągnąć za pomocą doboru akcesoriów do słowa poety, a nawet—bez słowa poety. Gra aktorów, następstwo obrazów i dekoracji, gra świateł—działają na widza bezpośrednio i zdolne są same przez się wprowadzić go w entuzjastyczne podniecenie nerwów.

Dramaturg liczy na współdziałanie sceny, a pisząc, powinien nawet je przewidzieć. Trafna wizja sceny należy do zalet dramaturga, lecz nie stanowi przecie istoty jego talentu. Wypędzilibyśmy literaturę z teatru, gdybyśmy przedstawienia oparli tylko na umiejętnym urządzeniu widowisk. Tę jednak siłę emocjonalną widowiska niektórzy krytycy zapisują w całości na rachunek autora tekstu. Rodzą się z tego fałszywe obrachunki literackie. Znaczna część wziętości Wyspiańskiego powstała z takich obrachunków. Wyspiański, jako poeta, bardzo rzadko się wznosi do samoistnego i skończonego dzieła, ale różne jego utwory, nawet szkicowe, jak

„Sędziowie”, posiadają w wysokim stopniu warunki sceniczne, są dobrym materiałem w ręku umiejętnego reżysera.

Równie modnym stanowiskiem krytyka stała się zupełna pobłażliwość na sposoby, którymi autor wypowiada tak zwaną indywidualność swoją, będącą często tylko poszukiwaniem oryginalności. Zdawałoby się, że istnieje dzisiaj jakaś dyspensa generalna od obowiązujących prawideł „wielkiej estetyki”, byleby pisarz sprawił czytelnikowi silną, dozną emocję. Ale, że takiej dyspensy nikt nie jest mocen udzielić, nazwałbym ją zakupem bezcelowej rewolucji, dążącej do demokratyzowania sposobów twórczych. Otóż rzeczpospolita sztuki nie była nigdy i nie będzie rządzona systemem demokratycznym. Raczej do plutokracji *sui generis* porównaćby można to państwo osobliwe, do którego nasz ideał demokratyczny nie daje się zastosować. Rząd w niem sprawują najbogatsi, gnębiąc niemiłosiernie uboższych i słabszych. I tak jest właśnie dobrze, gdyż skarby najbogatszych stają się własnością i pożywieniem narodów i wieków.

„Nowa” estetyka, polegająca na wywyższaniu akcesorycznych uzdolnień ponad wieczne i prawe tytuły talentów, na dyspensie od ciężkich, ale nieuchronnych praw „wielkiej estetyki”, na schlebianiu lekkomyślnym gustom chwili—jest tylko ustępstwem wobec rosnącej wciąż trudności tworzenia nowego piękna w literaturze.

27

SAVITRI:

NA PÓŁNOCY.

W dalekiej dali, na północy
konam samotnie, konam długo.
Idzie żal cichy, żal sierocy
do mej ojczyzny łzawą smugą.

Noc bezmiesięczna w me konanie
patrzy ślepiami wydartemi...
Szepcę błagalnie:—Nie daj, Panie,
obcego grobu w obcej ziemi.

Biedny mój zewłok choć po zgonie
niech w miłowanej śpi ojczyźnie...
Choć jednym kłosem na zagonie
ziemię rodzoną niech użyźnię.

Dzień już nie wstanie po tej nocy,
dzień z mgłą posępną i szarugą...
W dalekiej dali, na północy
konam samotnie, konam długo.



SEN (z wystawy w Buda-Peszcie)

JÓZEF VAJDA

SZYMON ASKENAZY:

Cesarz Paweł I a Polacy.

16 listopada 1796 r. zrana, w Pałacu Zimowym w Petersburgu, cesarzowa Katarzyna II wstała, jak zwykle, dość wczesnie, spożyła kawę, dużo pisała i w kilka chwil potem tknięta została udarem apoplektycznym. Natychmiast Petersburg został odcięty od świata, zamknięto roгатki stolicy, zatrzymano wszystkie poczty, nawet kuryerów dyplomatycznych. Szambelan hr. Iliński pierwszy zdążył pośpieszyć do Gatchyny i podać wiadomość przemieszkującemu tam W. Księciu Pawłowi Piotrowiczowi. Ten, jedyny prawy następca Piotra III, od nagłego zgonu ojca w 1762 roku, t. j. przez lat z górą 34, doczekał się wstąpienia na tron, sobie z prawa przynależny, a mocą faktu dokonanego zajęty przez matkę. Ona tymczasem nazajutrz, 17 listopada, o 10 wieczorem, wydała ostatnie tchnienie. Od tej chwili objął rządę cesarz Paweł I.

Zmieniło się odrazu wszystko: przy dworze, w rządzie, wojsku, polityce zagranicznej i wewnętrznej. Zmianę tę w sposób raptowny, a zrazu stosunkowo pomyślny, odczuli Polacy.

Było wtedy w Petersburgu Polaków sporo: na wolnej stopie i w więzieniu. Śród pierwszych byli tacy, którzy znaleźli się tutaj również pod przymusem, aczkolwiek pośrednim, niby półwężnie; byli inni znów, w liczbie przeważającej, którzy przybyli z własnej woli. Byli tedy dwaj młodzi Czartoryscy, Adam i Konstanty; a byli też Stanisław Poniatowski, synowiec królewski, Seweryn Potocki, rzeczywisty radca tajny i senator, Ireneusz Chreptowicz, syn kanclerza Joachima, Michał Radziwiłł, wojewoda wileński, z żoną, Antonina Czetwertyńska, wdowa po oficerze powstania, Jerzy Wielhorski, szambelan, wspomniany szambelan Iliński, nagrodzony za swój pośpiech orderem Aleksandra Newskiego i darowizną 5,000 dusz, wielu innych jeszcze, bardzo rozmaitej, przeważnie dość lichej wartości osobistej i narodowej. Obok nich zaś byli tu w niewoli Kościuszko, Ignacy Potocki, Wawrzecki, Mostowski, Zakrzewski, Niemcewicz, Kapostas, Kiliński.

W kilka dni po objęciu rządów, 26 listopada t. r., Paweł I, w towarzystwie następcy tronu, W. Księcia Aleksandra Pawłowicza, i licznej świty, udał się osobiście do Kościuszki. Kościuszko, przeniesiony do Petersburga 21 grudnia 1794 roku, odtąd przez dwa lata był trzymany kolejno, naprzód w domu komendanta twierdzy Petropawłowskiej, potem w domu prywatnym w Petersburgu, wreszcie w pałacu Marmurowym. Pa-

weł I powitał go z oznakami wysokiego szacunku, rozmówił się z nim poważnie i łaskawie, wysłuchał słów jego żywych i mocnych, sam otwarcie mu wyznał, iż politykę polską matki swojej potępia, oświadczył wreszcie, iż jemu i współwięźniom polskim wolność przywraca. W rzeczy samej niebawem wszyscy oni zostali uwolnieni. Trudność pewna wynikała jedynie z Ignacym Potockim. Ten od pierwszej chwili przywiezienia go do Petersburga uczynił wrażenie silne; „to jest zaiste prawdziwy mąż stanu” (*gosudarstwennyj czetowiek*), zawołał kanclerz Bezborodko po pierwszej z nim rozmowie. Dlatego też wydał się niebezpieczniejszym od innych, skutkiem czego przed jego uwolnieniem zażądano od obecnych w Petersburgu Polaków wspólnego rewersu, poręczającego, iż on nowych przeciw Rosyi działań nie przedsięwzię, i dopiero po podpisaniu przez nich wszystkich—przyczem jednak niektórzy robili niezaszczytne trudności—w kancelaryi generał-gubernatora Senatu, hr. Samojłowa, takiego rewersu, Potocki Ignacy wolność odzyskał. Natychmiast też i do niego, do domu na ulicy Litejnej, gdzie był więziony, udał się Paweł, obszedł się z nim serdecznie, nie szczędził mu wyrazów swego poważania i łaski. Zarazem cesarz kazał sprowadzić do Petersburga więzionego w Grodnie Stanisława-Augusta i na rozkazie, w tym względzie posłanym generał-gubernatorowi



Cesarz Paweł I.

Litwy, ks. Repninowi, nadpisał własnoręcznie pod adresem detronizowanego króla: „tu es rex.” Nie zapomniał i o ks. Józefie Poniatowskim: na rewii, odbytej 22 grudnia t. r., przy parolu ustnym cesarskim na ręce W. Księcia Aleksandra, mianował Paweł ks. Józefa generałem-lejtnantem jazdy rosyjskiej, oraz szefem kazańskiego pułku kirasyerów, który był przeznaczony przez zmarłą cesarzową jej faworytowi, hr. Mamonowowi. Zaznaczyć jednak zaraz wypada, że, ponieważ ks. Józef nie stawiał się bynajmniej do objęcia tej godności, przeto rzeczony pułk kazański przez pół roku obchodzić się musiał bez szefa, i dopiero w maju następnego 1797 roku szefem jego mianowany został, na miejsce Józefa ks. Poniatowskiego, generał mniej świetnego nazwiska, a mianowicie generał-lejtnant Bardakow. Wcześniej jeszcze wydany został ukaz Pawła I, 10 grudnia 1796 roku, uwalniający wszystkich Polaków, więzionych „z powodu zasług w Polsce zamieszek”, dzięki czemu do kilkunastu tysięcy uczestników ostatniego powstania, a nawet wielu dawniejszych więźniów, zabranych z powodu kampanii 1792 roku, wcielenia wojsk polskich do armii rosyjskiej i t. p., a nawet trochę nieszczęśliwych, pozostałych z czasów konfederacji barskiej, odzyskało swobodę i wróciło do kraju.

Wszystkie te dobroczynne zarządzenia cesarza Pawła I, dotyczące Polaków, nacechowane duchem sprawiedliwości i ludzkości, przyjęte zostały z żywym niezadowolaniem przez dwa inne mocarstwa rozbiorcze, Prusy i Austryę.

Posłem pruskim w Petersburgu był wtedy generał Tauenzien, austriackim hr. Cobenzl. Obydwaj byli wczora jeszcze, za Katarzyny II, w tem położeniu szczęśliwym, że mogli układać się, a zarazem targować się z sobą zaciekle, w sprawie trzeciego podziału Polski. Obydwaj też oni byli obecnie

stropieni niezmiernie tak niepojętem dla nich postępowaniem nowego monarchy. Temu stopieniu dawali wyraz dobitny w swoich depezach poufnych (cyfrowanych) i, donosząc swoim dworom z całą dokładnością najdrobniejsze szczegóły, dotyczące stosunków Pawła I względem Polaków i Polski, nie omieszkiwali zaopatrywać tych doniesień do Berlina i Wiednia w stosowne alarmujące komentarze. „Cesarz (Paweł)—pisał Cobenzl do ówczesnego ministra spraw zagranicznych dworu wiedeńskiego, barona Thuguta, dobrze obeznanego ze sprawami naszymi, gdyż sam ongi był rezydował i bródził imieniem Austrii w Warszawie—odkrył swój pogląd w sercach Polski; powiedział mianowicie, że on potępia jak najmocniej wszystko, co w tej mierze uczyniono; że, gdyby te sprawy nie były już tak daleko posunięte, on byłby skłonny zwrócić wszystko (*il serait disposé de tout rendre*); że jednak widzi, iż, skoro się już zaszło tak daleko, niepodobna już zawrócić (*revenir sur ses pas*). Zdaje się, że J. C. Mości bardzo leży na sercu przywiązać do siebie Polaków”.



Ludwik hr. Cobenzl.

Obadwaj postowie, pruski i austriacki, nie omieszkiwali też zwrócić się skwapliwie do takich żywiołów przy dworze, w rządzie i wyższym towarzystwie petersburskim, które, związane ściśle interesem osobistym, a przeto i przekonaniem politycznym, z obfitującym w zdobycze, konfiskaty i darowizny panowaniem zmarłej imperatorowej, ze szczególną niechęcią zapatrywały się na nowy, przyjaźniejszy zwrot cesarza Pawła wzglę-



Ignacy Potocki.

dem Polaków. Nie krępowano się tu bynajmniej w wyrazach potępienia dla własnego monarchy, który okazuje łaskę „zbójcom i rewolucjonistom” polskim, a czyni to „przez rodzaj manii, dla sponiewierania pamięci wszystkiego, co zrobione zostało za zeszłego panowania”. Zwłaszcza oburzano się w tych kołach na względy, okazywane przez monarchę Ignacemu Potockiemu, „który często bywa u dworu, składa wizyty całemu ciału dyplomatycznemu” w Petersburgu i przy każdej okazji odbiera dowody wyjątkowego, zaszczytnego wyróżnienia ze strony cesarza. „Kiedy hr. Potocki (Ignacy)—to był jeden ze szczegółów, które najwięcej ubodły tamtych oburzonych dworaków petersburskich i skosternowały posłów pruskiego i austriackiego—został przedstawiony cesarzowi i ucałował go w rękę, wtedy cesarz, wbrew wszelkim przyjętym zwyczajom, chwycił go w objęcia i ucałował w usta, poczem rzekł: „Oto, jak należy uściskać człowieka takiego, jakim pan jesteś.” „Podobne zachowanie się cesarza—taką uwagę, z powodu tego niesłychanego pogwałcenia ceremoniału, czyni przerażony Cobenzl—wobec osobnika, który zawsze był zupełnym przeciwnikiem Rosji, który był jednym z najgłówniejszych rewolucjonistów i nawet tyłoma splamił się zbrodniami, zdaje się wskazywać, iż cesarz w sprawach polskich żywi zamiary zgoła nadzwyczajne, które przede wszystkim mogą sprowadzić zatarg z Prusami”.

W rzeczy samej, było do przewidzenia, że Potocki Ignacy, główny sprawca niedawnego przymierza polsko-pruskiego 1790 roku, a więc tem bardziej dotknięty haniebną zdradą pruską, byłby zapewne rad skorzystał z dobrego usposobienia cesarza Pawła, aby w interesie wspólnym, zarówno Polski, jak i Rosji, wziąć należny na Prusach odwet. Poseł pruski, generał Tauenzien, do tego stopnia tem wszystkim był zaniepokojony, że niezwłocznie, imieniem swego rządu, zwrócił się do wicekanclerza, ks. Aleksandra Kurakina, z oficjalnym zażaleniem „w słowach naj-



Stanisław August w Petersburgu. Według obrazu J. Moniuszki.

żywszych", z powodu nie tylko uwolnienia więźniów polskich, lecz całego względem Polaków zachowania się cesarza, gdyż „tym sposobem niweczy się wszelkie wysiłki, czynione przez Prusy celem zapewnienia spokojności we wzajemnych nabytkach” polskich. Jednakowoż ta demonstracja, wkraczająca do dziedziny czysto wewnętrznych zarządzeń monarchy rosyjskiego, pomimo natrętnych nalegań generała Tauenziena, jak ze smutkiem stwierdzał poseł, „nie wywarła żadnego skutku”.

Cesarz Paweł I, długo malowany wyłącznie na czarno przez tendencyjną historiografię rosyjską, ostatnimi czasy zostaje po części rehabilitowany przez bardziej niezależną i bezstronną naukę rosyjską wykazującą w nim, obok rysów ujemnych, również i wybitne dodatnie: wiele zdrowego rozsądku, oraz poczucia sprawiedliwości i honoru. Owóż rzeczą jest godną uwagi, że tam właśnie, gdzie te objawy dodatnie występowały w zakresie sprawy polskiej, natychmiast ukazywała się ręka obca, aby przeciw nim podjudzać, wstrzymać je i stawać im na przeszkodzie.

BOLESŁAW PRUS:

Nasze obecne położenie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

II.

Po tej wzmiance możemy przystąpić do rozejrzenia się w rozmaitych objawach życia i działalności społecznej. Będzie to rzecz bardzo szkicowa, gdyż wreszcie i celem jej nie jest wyczerpać kwestyę, lecz tylko pobudzić do rozmyślań.

Polityka. Celem polityki wewnętrznej i zewnętrznej powinno być i bardzo często bywa—wszechstronne bezpieczeństwo i rozwój narodu. (Niekiedy polityka zakłada sobie jako cel: przeszkodzenie rozwojowi i wyrządzenie największych możliwych szkód innym narodom, co mianowicie zdarza się w wypadku wojny).

Gdybyśmy zapytali, jakie *korzyści*, przynajmniej od półtora wieku, odnosi nasz naród ze swojej polityki, odpowiedź byłaby zdumiewająca: polityka przynosi nam same upadki, straty ludzi i bogactw, rosnący ucisk, cierpienia i zastój cywilizacyjny!

— Winni temu sąsiedzi, którzy nas poćwiartowali, a obecnie chcą wytepić!...—zawoła czytelnik.

Zapewne. Gdyby nie było sąsiadów, nie miałby nas kto ćwiartować. Czy jednak i my sami nie przyczyniliśmy się do naszych nieszczęść?... Czy mianowicie stosowaliśmy się do tego prawa natury, które, jako warunek wszelkiej pomyślności, stawia trzy rodzaje prac: *znać—robić—i—korzystać w porę i w miarę?*

Otóż—przedewszystkiem nie umieliśmy

korzystać. Po roku 1815 posiadaliśmy autonomię i konstytucję, jak Finlandya. Zamiast jednak wydobyć, co się da, z powyższych przywilejów, my, zaniedbawszy realne zyski, zapragnęliśmy odbudować Rzeczpospolitą w dawnych granicach i w końcu—daliśmy się porwać stronnictwom rewolucyjnym, mimo ostrzeżeń i protestów ówczesnych mężów stanu. Wprawdzie była to zbrojna odpowiedź na intrygi i nadużycia partii nowosilcowskiej; lecz jednocześnie był to tylko—*odruch*, nie zaś akt polityczny.

Nadszedł rok 1861 i reformy Wielopolskiego. Dano nam własną administrację, sądy, szkoły, rady powiatowe i miejskie, prawie ministerya, a za namiestnika—W. Ks. Konstantego, rozumnego i uczciwego człowieka. W jaki sposób odpowiedzieliśmy na to?... Powstaniem! Powie ktoś: był to skutek ogólnego rozdrażnienia w całej Europie, może i pruskich intryg, a w każdym razie—wyładowanie krzywd, zadanych narodowi przez rządy paskiewiczowskie...

Prawda. Był to skutek, był to *odruch*, który najdoskonalej zrozumie każdy psycholog, każdy fizyolog, ale był to tylko—*odruch*, nie zaś—czyn polityczny, który zapewniłby narodowi bezpieczeństwo i rozwój.

Korzystać zatem ze stosunków politycznych nie umieliśmy ani w porę, ani w miarę. Więc może w dziedzinie polityki umieliśmy *działać*, pracować?

Praca ludzka, której celem jest zaspokojenie jakichś potrzeb, miewa rozmaite formy i wartość. Dla przykładu weźmy dwie jej postaci krańcowe. Aby jako tako utrzymać nędzne życie, człowiek dziki wypędza zwierza z jaskini i osiedla się na jego miejscu; zabija drugie zwierzę, aby zdobyć surowe mięso i nie wyprawione futro, a nareszcie rzuca się na podobnego sobie człowieka i morduje go, ażeby pożreć jego zapasy, albo i jego samego. Ta forma pracy nazywa się—*walką* i przynosi, jak widzieliśmy, bardzo liche rezultaty za cenę ogromnych wysiłków i cierpień, przyczem w dodatku marnuje się większa część użytecznych materiałów.

Inną formą pracy, wprost przeciwną walce, jest—*wytwórczość*. Człowiek, zamiast walczyć o jaskinię, buduje sobie ciepłe i wygodne mieszkania; zamiast żreć mięso, krwią ociekające, żywi się mnóstwem przerobionych pokarmów, które nie tylko zaspakajają głód, ale i potrzeby estetyczne. Wreszcie zamiast obdzierać zwierzę z nie wyprawionego futra, czło-

wiek hoduje rozmaite zwierzęta i rośliny, wznosi fabryki i w rezultacie zaopatruje się w odzież tkaną i szytą, która jednoczy w sobie: ciepło, czystość, wygodę, nawet ozdobność.

Krótko mówiąc, sposób „robienia” za pomocą walki jest nie tylko barbarzyński, ale i nieskończenie mniej użyteczny, aniżeli sposób „robienia” za pomocą pracy wytwórczej. Na tym kawale ziemi, który z biedą utrzyma jedną rodzinę myśliwców, może doskonale żyć tysiąc rodzin przemysłowo-rolniczych. W każdej zresztą dziedzinie walka jest najniższą postacią działalności.

To samo w polityce. Walka czyli wojna jest nieszczęściem: marnuje mnóstwo sił, nie tworzy, zasiewa długotrwałe nienawiści i, zamiast kończyć nieporozumienia, przyłącza do starych—nowe.

Otóż rzecz charakterystyczna. W historii polityki znana jest zasada wspierania się, wymiany usług, odszkodowań pieniężnych i t. d. Lecz z pomiędzy tych rozmaitych stosunków my, Polacy, wierzyliśmy tylko w jeden i umieliśmy tylko jeden—najgorszy, t. j. wojnę.

I gdybyśmy choć prowadzili wojnę, obrachowawszy pierwsi siły własne i przeciwnika; gdybyśmy rozpoczęli ją, mając przynajmniej równe szanse zwycięstwa, wystarali się o sprzymierzeńców... Gdzie tam!... Rzucaliśmy się na przeciwnika, kilkanaście razy mocniejszego od nas, bez nadziei wygranej. A zamiast zrobić choćby najprostsz plan, najwyklejszy rachunek, powtarzaliśmy, jak nieprzytomni, paradoksalne hasło: „Mierz siły na zamiary, nie zamiar według sił”...

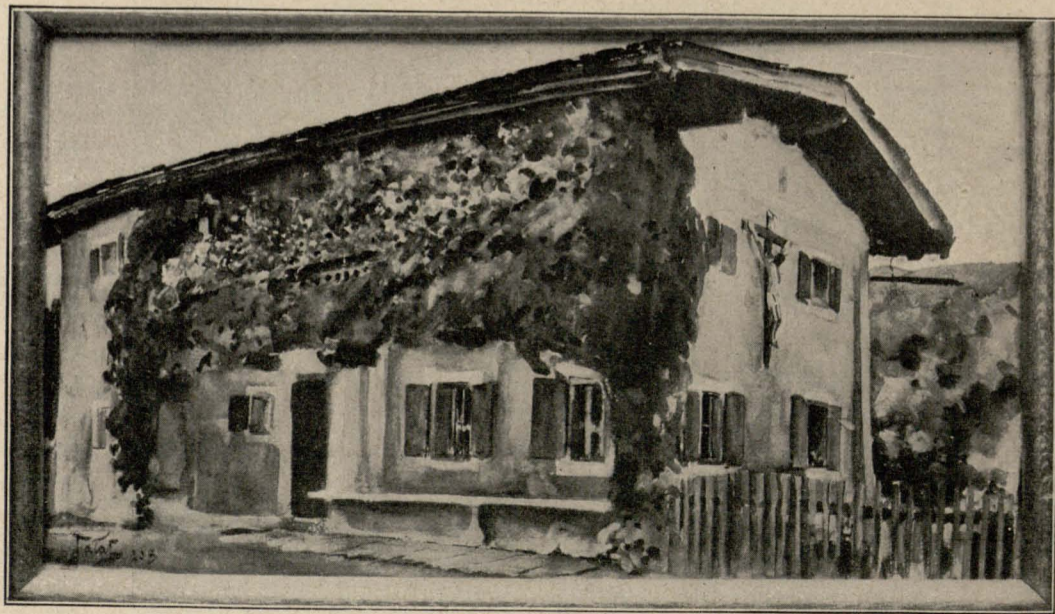
Już to poezya nie oddawała nam usług w polityce! Lecz... gdzie jest w naszych czasach drugi naród, który do politycznych zagadnień szukałby natchnienia w poezyi?...

W ten sposób, wbrew możności, bez celu i bez planu, marnowaliśmy mnóstwo najpiękniejszych sił polskich; bo naprawdę do naszych beznadziejnych powstań szli po największej części bohaterowie, ażeby za cenę swojej męczeńskiej krwi i młodych istnień kupić ukochanemu narodowi—co?... nowe formy niewoli i niedoli. To u nas nazywało się polityką, której przecież celem jest—bezpieczeństwo i rozwój sił społecznych.

Naprawdę, nie mogło być innej „roboty” politycznej, gdyż brakło nam najpierwszego warunku wszelkich udatnych działań: brakło nam *znajomości* polityki. Czy bowiem posiadamy w naszym języku np. życiorysy znakomitych mężów stanu i wodzów i choćby zwię-

złe, ale nauczające opisy ich działań? Czy mamy dzieła, z których przeciętny obywatel mógłby dowiedzieć się: co to jest polityka, jakie jej środki i sposoby działania?... Ale co najgorsze: czy my posiadamy zwięzłe, lecz rzetelnie napisane dzieła z zakresu historii Austrii, Prus i Rosyi? czy znamy statystykę tych krajów i ich geografję, nie tylko polityczną, ale ekonomiczną, moralną, oświatową i t. p.?

Czy staramy się zrozumieć duszę tych państw, czy zdajemy sobie sprawę z ich wad i zalet, z postępow i niedomagań?



CHATA TYROLSKA

JULIAN FAŁAT

Nasza wreszcie polityka z ostatnich czasów zasługuje na nazwę: przerażającej. Odznaczyła się ona nie tylko nieznaną Rosyi i sił, w niej działających, ale jeszcze ogromnym napięciem ducha partyjnego. Dzięki czemu z jednej strony odepchnięto i ubezwładniono ludzi, których rady mogły być użyteczne, nawet — niezbędne, z drugiej — podsycano zatargi wewnętrzne. W rezultacie — reakcja rosyjska zwróciła się przeciw nam, a my nie mamy nawet tej — najważniejszej — pociechy, że nie przyczyniliśmy się do jej rozjątrzenia!

Nauka. Powiedzieliśmy już z naciskiem, że, chcąc korzystać z polityki, trzeba ją znać i trzeba umieć ją robić. Poznać

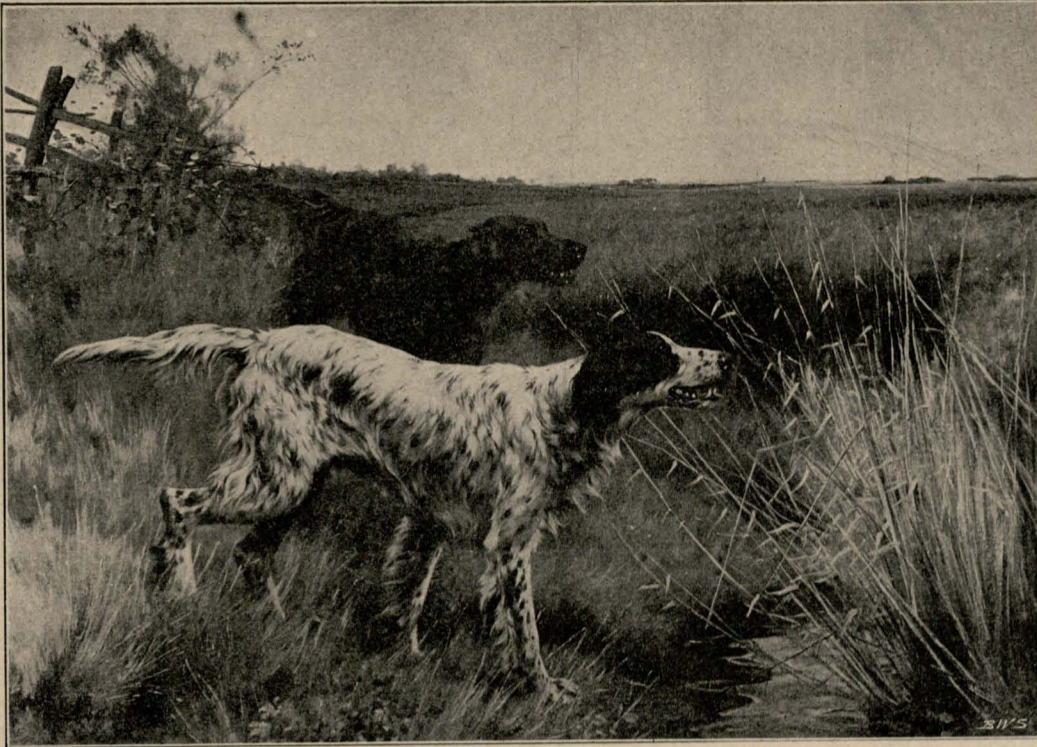
rozmaite formalności i formułki polityczne można z praktyki; lecz dopiero pod owymi formułkami kryje się coś ważniejszego i nawet jedynie ważnego, mianowicie: rozmaite siły społeczne, prądy duchowe, z których jedne prowadzą do pokojowego rozwoju, inne do wstrząśnięć i upadków. Znajomość tych rzeczy, nie zaś kancelaryjnych formułek, stanowi o wartości polityka, męża stanu.

Skądże jednak dojść do tego rodzaju wiedzy? gdzie jej szukać? jak ją zdobyć? Bo przecież nie w kancelaryjach dyplomatycznych, które bardzo często bywają szkołami zaciemniania najjaśniejszej sprawy! Skąd?... Z przeczystego, a niewyczerpanego źródła, które się zwie: nauką.

Nauka nie tylko odkrywa nowe ciała niebieskie, nowe minerały, rośliny i zwierzęta, nowe, coraz dziwniejsze pierwiastki chemiczne i jeszcze dziwniejsze postacie wszechenergii; nauka robi coś nieskończenie ważniejszego: uczy badać, uczy poszukiwać. Ona to powiada: jeżeli chcesz poznać coś nowego, obserwuj; gdy nagromadzisz wielki zasób obserwacji, staraj się odgadnąć przyczyny i przebieg nowego zjawiska; określ to w sposób możliwie jasny i prosty; sprawdź za pomocą umyślnych doświadczeń, wreszcie — na mocy tego, coś poznał, staraj się przewidzieć nowe zjawiska. I jeszcze woła nauka: badacz, rachuj się tylko z faktami, a nie z własnymi namiętnościami, albo z cudzymi podszeptami!

O, jakże inaczej wyglądałaby polityka europejska, gdyby każdy mąż stanu w swoich rozmyślaniach i działaniach posługiwał się, o ile można, metodami naukowymi!... O, jakże inaczej wyglądałaby Polska, gdyby nasz patriotyzm umiał nie tylko wykrzykiwać efektowne hasła, ale także obserwować fakty, sprawdzać swoje pomysły polityczne i — zawczasu przewidywać ich skutki!...

Z metodami naukowymi nie można oswoić się na poczekaniu, zwykle trzeba na to wiele lat. Trzeba ukończyć dobrą szkołę średnią, pracować na uniwersytecie, a potem... co najważniejsze — pracować samodzielnie. Człowiek, zdobywający naukę, jest niby akumulatorem, który przez szereg lat naładowuje się energią najszlachetniejszego i najpożyteczniejszego rodzaju. Na każdego podobnego człowieka społeczeństwo poświęca dużo wysiłków, dużo



NA BŁOTACH

THOMAS BLINKS

pieniędzy, wielu rzeczy odmawia sobie w nadziei, że, gdy ów akumulator duchowy przystąpi do pracy, przyniesie narodowi zyski stokrotne, które w dodatku będą ciągle powiększać się, ciągle rozmnażać...

No, i pewnego poranku społeczeństwo dowiaduje się, że ten oczekiwany akumulator bogactw duchowych, ten mesyjasz nieszczęśliwego narodu... niczem nie nasiąknął, albo został wywieziony na Syberję, gdyż, zamiast zdobywać metody naukowe, na polski sposób zajmował się polityką!

Czy podobna, ażebyśmy do czegokolwiek doszli w cywilizacji, ażebyśmy przestali być niewolnikami, dopóki ucząca się młodzież nasza w taki sposób marnuje własne życie i pieniądze narodu? My jesteśmy niby pole, na którym nic nie może dojrzeć, ponieważ wszystko przed czasem dostaje się pod żniwiarkę. Jeszcze ktoś nie ukazał się — i już jest ścięty!

„Narodzie mój, twoimi ciemiężcami niedorostki, a kobiety zapanowały nad tobą. Przywódcy twoi prowadzą cię na bezdroża, a kierunek ścieżek twych pokrzywili... I naznaczą dzieci na naczelników ich, a niedorostki panować im będą... Porwie się pacholę na starca, a nikczemny na dostojnego”.

Któryż polski autor wyplakał takie krwawe narzekania?... To — prorok Izajasz, na 26 wieków przed naszymi niedolami. Klęski narodowe nie znają miejsca ani czasu.

Jak nauki, szczególnie fizyczne i biologiczne, uczy badać, poznawać, odkrywać, tak znowu — *filozofia*, zwana ich „królową”, uczy rozmyślać. „Nie wierz w nic — woła Descartes — czego rozum jasno nie widzi i pod żadną nie pociąga wątpliwość. Następczające się zagadnienia dziel na tyle części, ile potrzeba, ażeby każdą z nich dokładnie zrozumieć. Rozmyślaj porządnie, zaczynając od pojęć najprostszych i posuwając się do coraz bardziej złożonych. Gdy skończyłeś rozmyślanie, jeszcze raz wszystko starannie przejrzyj, aby nic nie opuścić”.

Jeżeli każdą naukę porównamy z gmachem wielopiętrowym, pełnym salonów, izb, szaf, wśród których można się zabłąkać, zgubić, a przynajmniej zapomnieć, że poza naszą specjalnością istnieją jeszcze inne gmachy, a nawet całe miasta gmachów... Jeżeli każda pojedyncza nauka może pochłoniąć umysł i zro-

bić go jednostronnym, to filozofia jest podobna do wysokiej wieży, z której szczytu widzi się, naturalnie w ogólnych zarysach, wszystkie gmachy nauk specjalnych, a nadewszystko — główne ulice miasta wiedzy, główne kierunki badań i ostateczne rezultaty... Filozofia nie jest wcieleniem jakiejś pojedynczej zdolności, ale — całej duszy ludzkiej, a także jest nauczycielką, wychowawczynią całej ludzkiej duszy. Myśli daje logikę, uczucie karmi estetyką, woli wskazuje etykę. Za pomocą metafizyki i filozofii natury usiłuje rozjaśnić zagadkę świata i wszechbytu, socjologią oświetla tajemnice życia społecznego, psychologią — otchłanie duszy. A nareszcie w historii filozofii przedstawia obraz

swoich własnych usiłowań i rozwoju. (DCN)

WŁ. ST. REYMONT:

Z ZIEMI CHEŁMSKIEJ

WRAŻENIA I NOTATKI.

Chłop targał się w męce i prawie już od rozumu odchodził, żeby sobie jakoś zaradzić, a tyle jeno wymyślił, że któregoś dnia pożyczyl sobie od sąsiada kozucha, nogi poobwijał w łachmany i, nie opowiadając się nawet żonie, ruszył gdzieś we świat.

Poszedł po ratunek do księdza.

Droga była daleka i niezmiernie uciążliwa, szedł przytem o głodzie i musiał kołować i kluczyć borami, omijając wsie i trakty, na których mógłby się być spotkać ze strażnikami, więc dopiero drugiego dnia dowłókł się na plebanię.

Ksiądz był w domu, ale, skoro się dowiedział, że to „oporny”, tak się wystraszył, że nie chciał go widzieć na oczy i przykazał surowo kościelnemu nie wpuszczać nieszczęsnika nawet do kościoła. Szczęściem kościelny miał litościwsze serce i pozwolił mu wejść do kruchty, gdzie Koniuszewski całą noc leżał krzyżem i zebrał krwawymi łzami o zmiłowanie, a rano, po mszy, upatrzwszy odpowiednią chwilę, padł do nóg proboszczowi, wyznał się ze wszystkiego i skamlał o ochrzcenie dziecka.

Ksiądz wysłuchał, nawet się nad nim rozczulił, dał mu parę złotych i medalik, ale o chrzcie nie dał sobie mówić i jak najsurowiej zakazywał mu więcej przychodzić na plebanię...

A chociaż z niczem powrócił do chałupy, nie stracił jeszcze nadziei, bo wkrótce wybrał się do jednego z dworów, gdzie często chodził na robotę; cóż, kiedy dziedzic kazał go wypędzić, bał się również, aby go nie posądzono o pomaganie „opornym”, na całej bowiem unii wciąż jeszcze świszczały nahajki, tłukły kolby, tysiące gnano w dalekie strony, i rozlegał się żalony płacz

„nawracanych”. Koniuszewski zapłakał pierwszy raz w życiu nad swoją niedolą i odszedł.

Dopędził go za bramą dworski kucharz i z dobrego serca mu poradził, żeby się udał do starej pani hrabiny Łubieńskiej w Jabłoni, która, jak może, tak wspomaga i broni prześladowanych unitów, a już niejednego uratowała od zguby.

Ale chłop tylko się smutnie uśmiechnął, obtarł rękawem oczy i już nigdzie więcej nie poszedł, nie szukał już u nikogo więcej



Typy ludowe z powiatu białskiego. Fot. „Marie”.

poratunku, bo zrozumiał, że pozostał sam na świecie, jako to drzewo na wywieisku, i że zginąć musi...

Opowiadali potem ludzie, jako po powrocie wciąż się tylko modlił, a z chałupy przez całe noce rozlegały się pobożne śpiewy.

I kiedy przed samymi Godami dali mu znać pod wielkim sekretem, że mają mu siłą odebrać dziecko i ochrzcić je w cerkwi, nawet nie rozpaczął, jakby już na wszystko przygotowany, a tylko rzekł tym, co mu tę wiadomość przynieśli:

— Długie mają ręce, ale mojego chłopaka nie dosięgną.

Stał się nawet potem jakiś rozmowniejszy i prawie wesoły, chodził po wsi, zaglądając do chorych, leczących się jeszcze z pobicia, umacniał w wierze chwiejnych i wyznawał się przed niektórymi, że postanowił zabrać żonę z dziećmi i wynieść się we świat szeroki, gdzie go oczy poniosą!

Nie dziwili się temu, przecież już był osaczony, jak ten dziki, szkodny zwierz, a nawet któryś z zasobniejszych chciał mu pożyczyc na drogę, pod zastaw gruntu.

— Na taką drogę wystarczy mi tego, co mam—odpowiedział cicho.

I jeszcze tego samego dnia oboje Koniuszewscy zaczęli się żegnać ze wsią i pokornie wszystkich przepaszali za złe, jakie mogli komu uczynić.

Mówili, że wyjdą w nocy, ale nikomu nie powiedzieli, dokąd się wynoszą.

Pożegnali się, i już ich nikt więcej nie widział na oczy.

Noc się zrobiła ciemna, mróz sfolzał, i niekiedy padał śnieg gęsty i pierzasty, a chwilami przeciągał wilgotnawy wiatr, jakby na odmianę, psy tej nocy jakoś dziwnie, swarliwie naszczekiwały, i koguty piałły od samego wieczora.

Naraz o samej prawie północy chlusnęła w niebo słup ognia, i rozległy się po wsi krzyki.

Palila się stodoła Koniuszewskich.

Ale, nim się zbiegli, a pomyśleli o ratowaniu, już cała stanęła w płomieniach.

Koniuszewskich w chałupie nie było, musieli wyjść zaraz z wieczora.

Zdumieli się jednak niezmiernie, znalazłszy chałupę wywartą narozcież, a w izbie, na stole, pokrytym białym płótnem, zastawioną wieczerzę, zupełnie jeszcze niekniętą.

Długo nad nią kiwali głowami, nie mogąc tego zrozumieć, aż ktoś rzekł z naciśkiem:

— Musiało im coś przeszkodzić, kiedy tak wszystkiego odbiegli.

— A może są jeszcze gdzieś na wsi...

— Jużby do ognia przylecieli, nie, w tem jest coś innego.

Pogadywali, niespokojnie i wyczekująco rozglądając się dokoła, ale Koniuszewscy się nie zjawili, natomiast pożar wzmagał się z minuty na minutę, ognistą płachtą pokrył już cały dach i czerwonymi jezorami przeciskał się wskroś ścian, na szczęście wiatr całkiem ustał, a rozwichrzone grzywy czarnych dymów i płomieni wynosiły się coraz potężniej z trzaskiem i sykiem, rozsiewając krwawe brzaski na gromady, wylęknione i tłoczące się bezradnie, i na ośnieżoną chałupę, nisko przywartą do ziemi.

Wreszcie sołtys zaczął napędzać do ratowania, że ten i ów się poruszył i biegał z krzykiem, nie wiedząc zresztą, co począć, ktoś nawet próbował wyciągnąć wóz, którego dyszel sterczał przez wrótnie stodoły, lecz niepodobna było już podejść bliżej, cały budynek stał w ogniu, paliło się na wszystkich czterech węglach, a ze słomianego dachu sypał się na głowy żywy ogień.

Przyleciał wkrótce strażnik i, nie zważając na pożar, zaczął bardzo żarliwie rozpytywać, gdzie się podzieli Koniuszewscy, i tak ich zajadle szukał, tak za nimi tropił, zaglądając nawet do ziemniaczanych dołów i na strychy, aż się z niego przekpiwali między sobą, a ktoś odważniejszy zawołał ze śmiechem:

— Schowali się do stodoły, niech pan starszy sprawdzi...

Juści nie sprawdzali, bo stodoła była już tylko huczącą górą rozmiotanych płomieni, już trzeszczały wiązania, już chwiały się dach, wzdymały się rozpalone ściany, pękały

belki, a co chwila wybuchały ogniste fontanny, i krwawe żagwie, niby spłoszone ptactwo, rozlatywały się na wszystkie strony świata. Noc była cicha i ciemna, śnieg zaczął polatywać gęstymi rojami, we wsi sąsiedniej bił dzwon na trwogę, i psy wyły jakoś długo i żałośnie; ludzie zaś stali kupami, z cicha pogadując, gdy wtem jakby z nieba, czy z tych szalejących płomieni zabrzmiał stłumiony, daleki śpiew, jakby przeciągły krzyk konających...

Struchleli z przerażenia, zamarli serca, i wszystkie oczy stanęły kołem.

A płomienisty kierz śpiewał coraz głośnie, coraz wyraźniej i coraz zrozumialej...

Nikt się nie mógł poruszyć, jakby ich wbiła w ziemię kamienna pieśń strachu, dopiero po długiej chwili ktoś zakrzyczał:

— To Koniuszewscy!

— Jezus, Marya! Koniuszewscy! Ratuj, kto w Boga wierzy! Jesu! Marya!

Jakby huragan szaleństwa ich porwał i rozmiótł na wszystkie strony; lunęły wrzaski, szlochania, lamenty, biegali nieprzytomnie dokoła ognia, wyciągali ręce, targali się za włosy, uciekali w pola, to krzyczeli nieludzko w strasznej męce żalów i bezradności, bo ani można było myśleć o ratowaniu, dach się już bowiem wygiął i mógł lada chwila runąć.

Ale śpiew wciąż jeszcze płynął, równy, wysoki, niebosięzny, był jakby radosnym witanem raju, hymnem zmartwychwstających, ekstatyczną pieśnią wiary...

Runęli wszyscy na kolana i zaczęli odmawiać modlitwę za konających, głosy się trzęsły i łamały, zalewając łzami, niekiedy wybuchał ogólny płacz, niekiedy ktoś padał na ziemię ze straszonym, rozdzierającym krzykiem, i łkania rozsadały piersi, ale modlili się całą głębią dusz, i ta litania rozpaczonych, łzawych głosów łączyła się ze śpiewem konających i wraz z szumem pożogi, z trzaskiem pękających ścian płynęła jednym, ogromnym jękiem w bezkresną, nieprzeniknioną noc...

Naraz stodoła się zapadła, i z głębi ognistej otchłani wydarł się ostatni, przerażający krzyk...

Dopiero w parę dni później wydobyto z pod zgliszcz zwęglone zwłoki Koniuszewskich.

(DCN)



Typy ludowe z powiatu białskiego. Fot. „Marie”.

ŚWIĘTO INSTYTUCYI NARODOWEJ.



Medal jubileuszowy Muzeum Narodowego. Modelował K. Laszczka.



Dr. Feliks Kopera, dyrektor Muzeum.



Dr. Józef Pagaczewski, kustosz Muzeum.

Święto Słowackiego w Krakowie.

W sobotę dnia 16 b. m. rozpoczął Kraków cykl uroczystości ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Słowackiego. Zainaugurowała je Rada miejska uroczystym posiedzeniem i powzięciem uchwały, wedle której teatr miejski w Krakowie ma się od-tąd nazywać „Teatrem Słowackiego”. Konstytuuj-ące zgromadzenie członków Towarzystwa im. Słowackiego, odbyte dnia tego popołudniu w auli uniwersyteckiej, wypełniło dalszy program uroczystości, którego punktem kulminacyjnym, obok przed-stawienia „Złotej czaszki” w Teatrze Miejskim, po-przedzonego pięknym przemówieniem p. L. Rydla, było dokonane w niedzielę, t. j. drugiego dnia ob-

chodu, otwarcie wystawy pamiątek po Juliuszu Słowackim.

Wystawa ta, którą w najbliższym numerze *Tygodnika* opiszemy dokładniej, zajęła całą dużą salę w pałacu Tow. Sztuk pięknych.

Zgromadzono tu szereg bardzo cennych pa-miątek po nieśmiertelnym wieszczu ze wszystkich stron Polski, które też w takim komplecie nigdzie nie były oglądane.

Trzy bezpłatne przedstawienia w teatrach miejskim i ludowym dla młodzieży szkolnej i dla warstw uboższych, tudzież wielki koncert popular-ny wypełniły resztę drugiego dnia obchodu.

Po Krakowie przyjdzie kolej w uczczeniu

POMNIK WE LWOWIE.



Projekt pomnika Słowackiego we Lwowie.

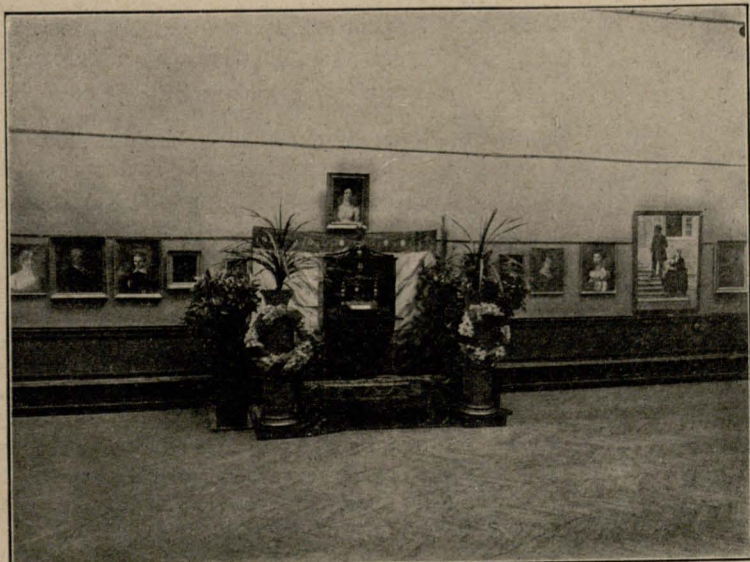
wieszczu na Lwów, a po nim na wszystkie inne miasta, a nawet wsie Galicyi. Do najdalszego za-kątka kraju dotrze jego misterne, nieśmiertelne



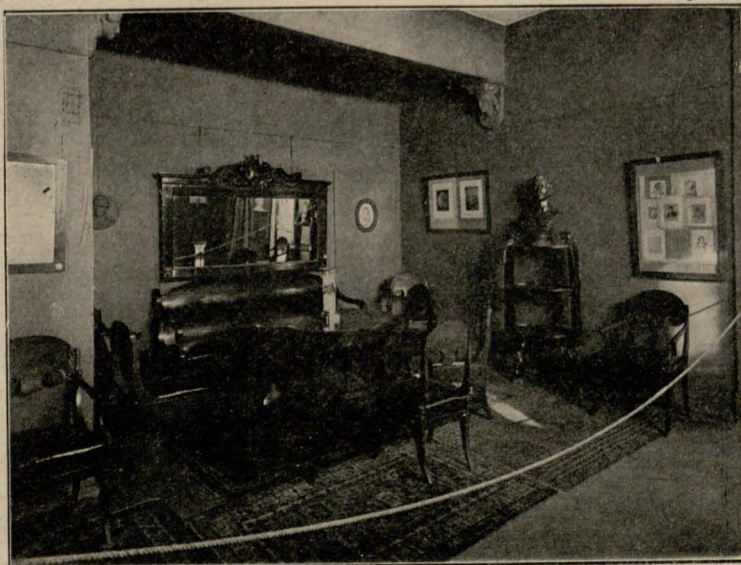
Medal jubileuszowy Słowackiego. Rzeźbił J. Raszka.

słowo. W najuboższej duszy polskiej znajdą ideały jego wdzięczny i trwały odgłos.

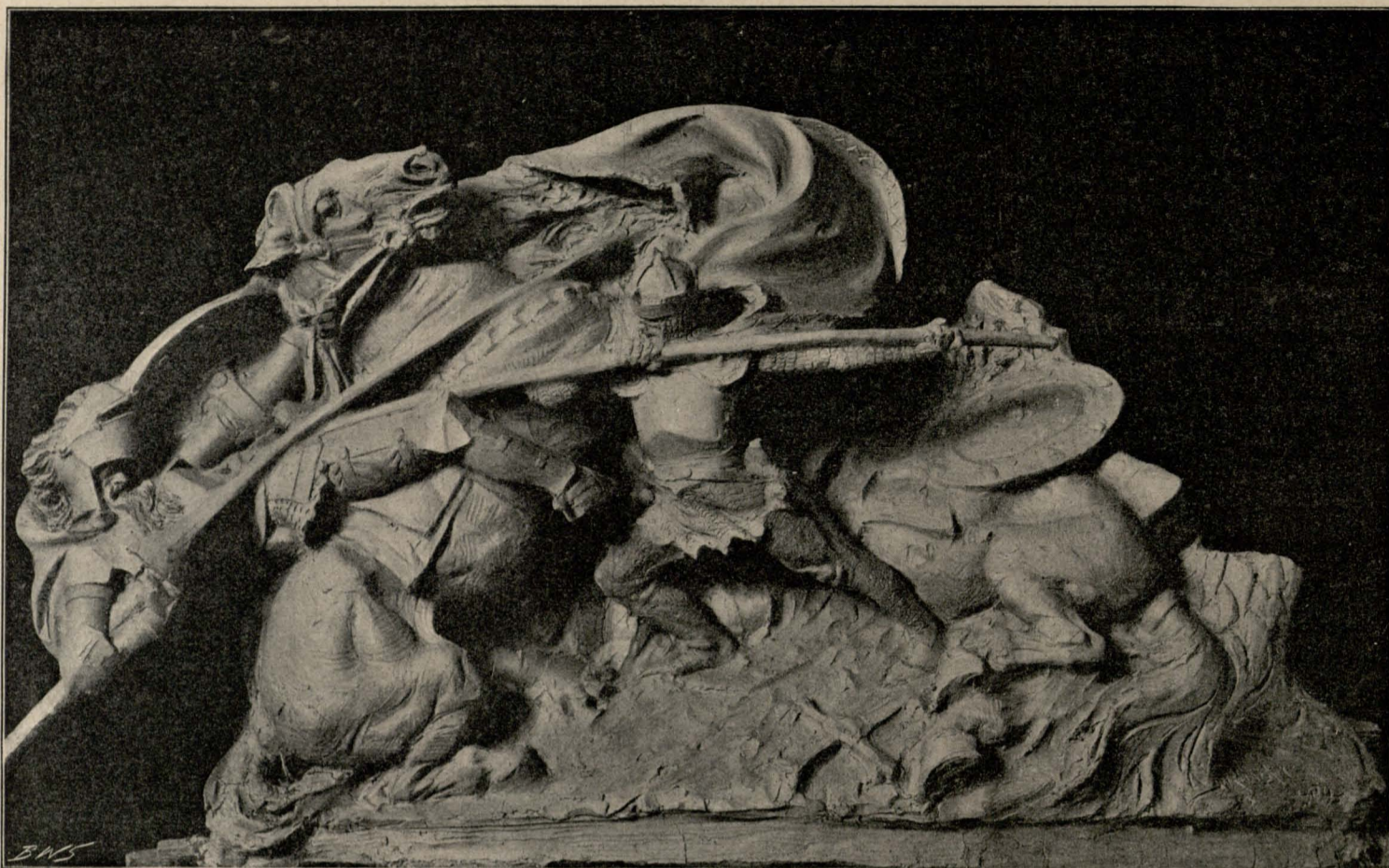
WYSTAWA PAMIĄTEK PO SŁOWACKIM W KRAKOWIE.



Biurko wieszca.



Pokój z czasów Słowackiego.



FRAGMENT POMNIKA BITWY POD GRUNWALDEM

Prof. RASZKA

Grunwald w rzeźbie.

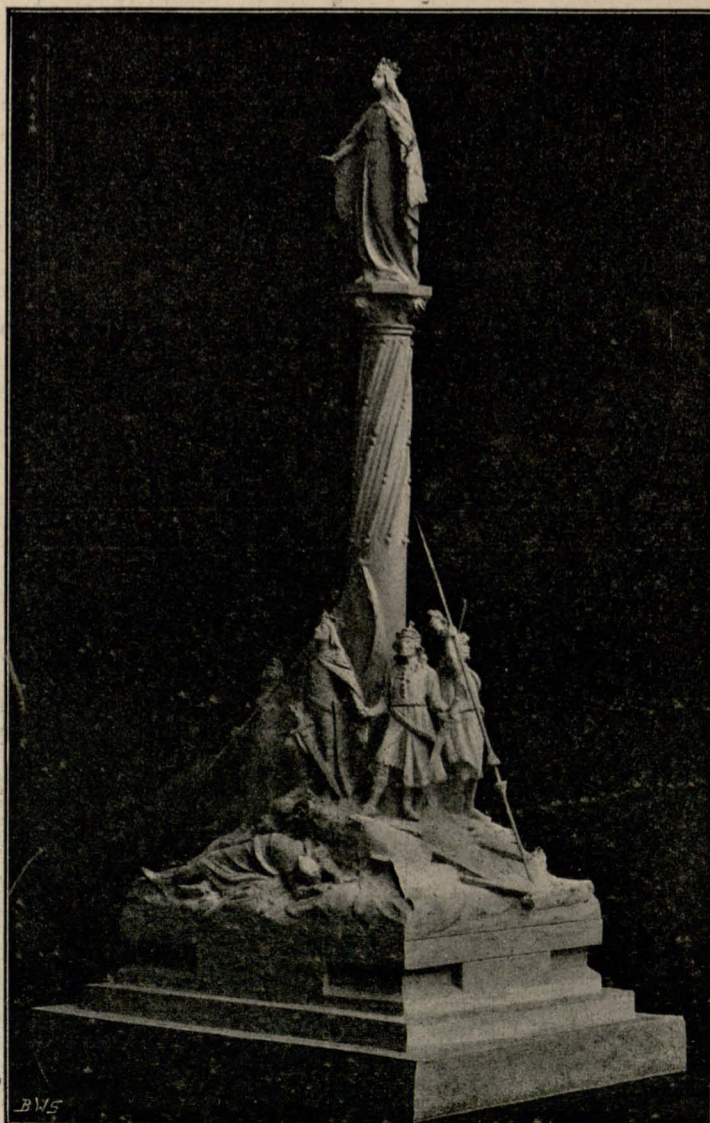
Zbliżająca się rocznica zwycięstwa pod Grunwaldem nie pozostaje bez wpływu na naszych rzeźbiarzy. Dwaj z nich, panowie Raszka i Kulesza, wystawili obecnie swoje projekty na pomniki, które z powodu wielkiej rocznicy stały się aktualnymi.

Profesor Raszka stara się w projekcie swoim wydobyć przede wszystkim wielką dramatyczność wiekopomnego starcia. Grupa też jego nacechowana jest wielką energią, rozmachem i śmiałością. Koncepcja prosta, nie obciążona żadnym balastem symbolicznym, daje raczej plastyczną scenę z bitwy, niż t. zw. jej „syntezę”. Jest to wielka zaleta pomysłu. Samo wykonanie natomiast nastrecza jeszcze pewne wątpliwości. Szczególnie figura Krzyżaka na koniu znajduje się w pozycji nie dość dobrze uzasadnionej. Sam bowiem cios, który wrogowi zadaje pieszy rycerz polski, aczkolwiek niewątpliwie potężny, nie wystarcza jednak do wytlómaczenia, dlaczego koń tak przysiadł i dlaczego wprawny stary rycerz krzyżacki przyjął walkę z pieszym przeciwnikiem w tak bardzo trudnej dla siebie pozycji. Ta pewna niekonsekwencja w samej koncepcji, obok kilku niedopatrzeń w modelunku postaci rycerza polskiego, w którego głowie i rękach niema tej siły, jaką artysta wydobyl w jego dobrze i mocno zapartych nogach, wymagają jeszcze pewnych poprawek. Po uskutecznieniu ich dzieło p. Raszki nabierze nowych cennych zalet, które kwalifikować je będą na kamień lub nawet na bronz.

Przeciwstawieniem do projektu Raszki jest pomysł cenionego rzeźbiarza krakowskiego, p. Kuleszy. Rzecz cała nie wychodzi wprawdzie poza granice utartych pojęć o tego rodzaju pomnikach, ale zaleca się prostotą i pewną miłą harmonią linii.

Taki jest narazie plon rzeźbiarski zbliżającej się wielkiej rocznicy. Należy żywić nadzieję, że w ciągu bieżącego roku wzbogaci się on jeszcze bardziej i że nasi rzeźbiarze zaczerpną natchnienia z tych wspaniałych wspomnień naszych dziejów, które w przyszłym roku mają się odświeżyć w pamięci ogółu.

gaci się on jeszcze bardziej i że nasi rzeźbiarze zaczerpną natchnienia z tych wspaniałych wspomnień naszych dziejów, które w przyszłym roku mają się odświeżyć w pamięci ogółu.



Pomnik bitwy pod Grunwaldem. Projekt Kuleszy.

Testament von Olszewskiego.

Zerwał z tradycją przodków dziejową,
By snuć... ogólnoczwolniczą...
Mniemał, że trzeźwą, praktyczną głową
Liryzmy wspomnień się leczą...
Nagle—piosenka z doby jutrzniowej
Wiek przypomniała mu złoty...
Na dźwięk tej piosenki—ów mąż śpiżowy
Zapłakał łzami—tęsknoty.

Autor „Strof”.

Całą prasę polską obiegła wiadomość o testamencie zniemczonego Polaka, Alfreda von Olszewskiego, który milionowy swój majątek przekazał synowi z warunkiem, aby do 30 roku życia złożył egzamin z języka polskiego i historii polskiej, aby umiał czczyć narodowość polską, swoje nazwisko polskie i pochodzenie polskie, aby związek hakatystów i wolnomularzy uważał za swoich wrogów i aby nigdy nie wstępował do służby państwowej w Prusach i nigdy nie zaślubił osoby, która do biurokracji pruskiej należy. W razie przeciwnym—generalnym spadkobiercą mianował zmarły Henryka Sienkiewicza. Sienkiewicz jednak rzekł się z góry praw do tego spadku, z uwagi, że: do Polski i „do polskiej idei nie ciągnie się nikogo groźbą wyrzucia z ziemi, odziedziczonej po ojcach”.

Pomijamy tu szczegóły, dotyczące tej sprawy. Znane są one powszechnie z dzienników. Jeżeli zaś zabieramy głos w tym przedmiocie, to jedynie dla tego, aby podkreślić ten wielki tryumf moralny, jaki odniósł pisarz polski, budząc duszę polską w zniemczonym rodaku.

Tajemnicę tych głębokich wewnętrznych procesów, jakie w nim zachodziły, zabrał z sobą von Olszewski do grobu. Wiemy tylko, że przewrotu tego dokonało słowo Sienkiewicza, że wskrzeszone przez niego postacie bohaterów narodowych, w chrześzczących zbrojach, ze skrzydłami u ramion, zjawiać się musiały niejednokrotnie na pokojach zamku Olszewskich pod Lignicą i że właściciel tego zamku długie musiał z nimi mieć rozmowy. Może spędzały one sen z jego powiek, może ja-

wiły mu się, jak wyrzut sumienia narodowego, może wydzwaniaty mu mieczami rycerski rapsod przeszłości polskiej, której przemoc zerwała z ramion płaszcz purpurowy chwały królewskiej? Dość, że dusza rasy, że ten nieśmiertelny pierwiastek, jaki w osobowości szlachcica śląskiego przechował się drogą dziedziczenia po ojcach, ocknął się w nim nagle i począł kołatać w jego sercu i dopominać się o prawo istnienia dla siebie, o wyzwoliny, o nowe życie. A dopomagało temu poczucie łączności z ziemią piastowską, która, zdeptana i strącona przez najazd niemiecki, nie przestała być ziemią polską, przechowującą w sobie kości poległych pod Lignicą obrońców ojczyzny. Z tej ziemi były także głosy, wołające o prawdę i sprawiedliwość, domagające się zadośćuczynienia za grzechy i winy pokoleń przeszłych, które dobrowolnie szły w jarzmo niemieckie, zaprzeczając ducha polskiego. I stało się, że duch polski zmartwychwstał, wskrzesnął, odrodził się i potężnymi skrzydłami swoimi załopotał nad siedzibą rodu Olszewskich.

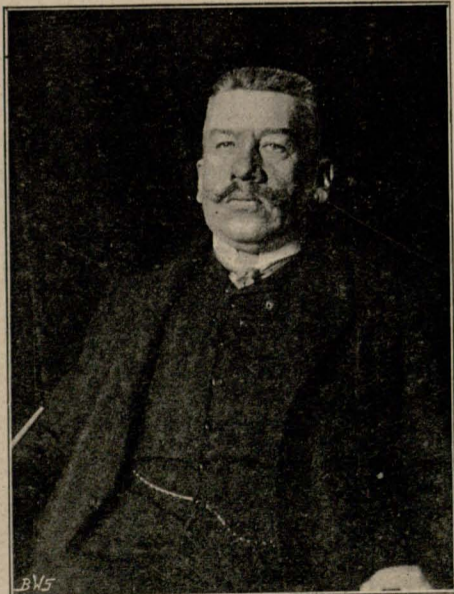
Sienkiewicz, twórca trylogii i „Krzyżaków”, Sienkiewicz-artysta, wykarmiony na piolunach niedoli polskiej, stał się wówczas powiernikiem najskrytszych myśli i najgłębszych, budzących się ukochań odzyskanego syna ojczyzny. On trzymał go w ciszy i spokoju rozmyślań samotnych do wtórnego chrztu narodowego, on wiódł go po ścieżkach odrodzenia i wskazywał mu obowiązek Polaka. I tak dokonywał się zwolna przewrót, o którym nie wiedział może nikt z najbliższych, a który po śmierci von Olszewskiego przemówić miał z za grobu, jako fakt, padający na szalę stosunków polsko-niemieckich w chwili, gdy szeregi niemieckie zwały się najsilniej i pod chorągwią bezprawia i gwałtu runęły na ostatnie okopy napastranej Polski, na ziemię, jako podstawę istnienia narodu, i na język, największy jego skarb.

Kto zwycięży w tej walce na śmierć i życie? Siła brutalna, czy kultura, stwierdzająca przez usta wielkiego pisarza polskiego, „że do Polski i do polskiej idei nie ciągnie się nikogo groźbą wyzucia z ziemi, odziedziczonej po ojcach”?

Z. D.

NOWY DYREKTOR.

Założona przed pięciu zaledwie laty Warszawska Szkoła Sztuk Pięknych chwiała się już w posadach tak poważnie, że w roku bieżącym groziło jej ostateczne runięcie w przepaść niebytu. Katastrofie zapobiegła narazie garść ludzi dobrej



Stanisław Lenc.

woli, którzy ukonstytuowali się w nową radę opiekuńczą i wybrali tymczasowo nowego dyrektora.

Powiadam: tymczasowo, gdyż rzeczywiście powołany na kierownika uczelni p. Stanisław Lenc mianowany jest tylko na rok jeden.

O radzie opiekuńczej powiem tu najogólniej,

że energią i szczerem oddaniem się sprawie zapewniła materialną egzystencję instytucji, natomiast osobie kierownika artystycznego Szkoły chciałbym poświęcić kilka wierszy charakterystyki.

Stanisław Lenc jest tylko portrecistą. Z pewnością, zajął on u nas w tym zakresie stanowisko



Warszawska Szkoła Sztuk pięknych. Uczniowie malują z żywego modela.

pierwszorzędne, jeżeli nie wręcz najpierwsze, ale nawet obrazy rodzajowe, jakie artysta od czasu do czasu wystawia, są to, ściśle biorąc, portrety zbiorowe ludzi, pozujących w tej lub innej postawie, z tą tylko różnicą, że modele do pozowania tego nic nie dopłacali, owszem, sami jeszcze pobierali od malarza po kilka złotych za facytę.

Nie jest to bynajmniej zarzut. Wszakże portrecistami tylko byli, a przynajmniej głównie w tym dziale malarstwa zasłynęli ongi Velasquez i Van Dyck, obecnie słyną na świat cały Bonat i Sargent, i doprawdy rodzaj ich sztuki nie jest nic a nic gorszy od innych rodzajów malarstwa. Wszeczeńswiatową i nie przemijającą w czasie sławę swoją zawdzięczają oni nie temu, że robili niesłychanie podobne wizerunki królów i panów, ale temu, że są przede wszystkim wielkimi malarzami. Z określeniem tem łączy się pojęcie jakiejś niezwyklej duchowości, jakiegoś wyjątkowego wyniesienia się ponad tłum malarzy małych i średnich.

Drogami takiego wyniesienia się są: przede wszystkim wybitny talent wrodzony, a dalej wybitne opanowanie środków sztuki—mistrzostwo w swym zawodzie. Jeżeli Lenc zdobył pierwszorzędne stanowisko w dziedzinie malarstwa polskiego, to nie tylko dla tego, że posiada od natury szczególniejszy dar wyczucia i zrozumienia twarzy ludzkiej, ale także z tej przyczyny, że dla daru tego stworzył w sobie trwałą podstawę, grunt bardzo mocny i niezachwiany w postaci należytego wykształcenia artystycznego, to jest że zdobył doskonale wyrobienie zawodowe.

Tak właśnie Lenc rozumie istotę artyzmu, o czem wnosić można z całej jego dotychczasowej działalności malarskiej, a także, nawiasem mówiąc, z teoretycznych jego poglądów na sztukę, które kilkakrotnie, przy rozmaitych okolicznościach wypowiadał. Nienawidzi on dyletantyzmu i łatwych sztuczek, a ceni istotne mistrzostwo w sztuce poważnej, która jest trudna i nie dla wszystkich dostępna.

Takie zapatrywania Lenca każą powitać w nim kierownika uczelni ze wszech miar odpowiedniego, i doprawdy wierzyć można, że pod przewodem

tego artysty instytucja stanie się tem, czem być powinna, to jest dobrą szkołą, dającą konieczne wiadomości zawodowe z dziedziny rzeźby i malarstwa.

Przytoczę tu bowiem swoje *ceterum censeo*, które powtarzałem, wielokroć wypadało mi pisać dotychczas o Warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych, że żadna szkoła podobna nie może nauczyć nikogo artystycznej twórczości, ale może i powinna nieodzwrotnie wychowawców swoich nauczyć tego wszystkiego, co jest rzemiosłem sztuki.

Najgenialniejszy z profesorów nie przekaze żadnemu z uczniów swego talentu, natomiast może i powinien podzielić się z nim swoją wiedzą, jak z drugiej strony prawdziwego, mocnego talentu nie okiełza i niespaczy w uczniu najsurowsza reguła szkolna, a za to pewien zapas wiedzy fachowej da w ręce mniejszym nawet talentom potrzebne bardzo atuty w ciężkiej walce życiowej.

Poważna wiedza malarska nowego dyrektora, tudzież znane jego dążenia artystyczne dają gwarancję, że czas, spędzony w szkole pod jego kierownictwem, dla licznych zastępów młodzieży nie będzie czasem, spędzonym napróżno.

T. J.

☞



Oddział rzeźby.

WIKTOR GOMULICKI:

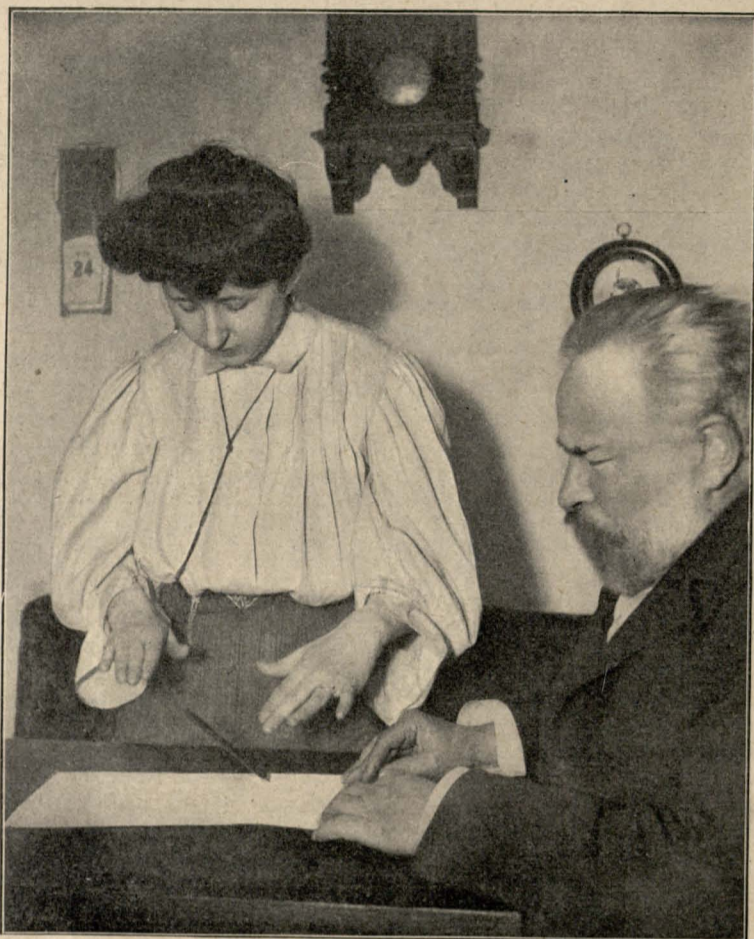
SPŁOWIAŁE KARTKI.

Kochamy się, jesteście tak szczęśliwi...
Czemuż nam pierś wznosi często westchnienie?
Czemu do gwiazd leci nasze spojrzenie?
A własny śmiech nieraz drażni i dziwi?

Kochamy się, a czemuż nam w rozmowie
Wciąż wyraz „śmierć”, jak dzwonu jęk, powraca?
Czemuż się w mgłę rozwiewa myśli praca?
I czemu pieśń urywa się w połowie?

Kochamy się, a skąd nam myśl okrutna
Przygniata mózg, serce ziębi i rani?
Ach! bośmy wraz: na szczytach i w otchłani!
Bo miłość cóż? Sprawa święta i—smutna!

DOŚWIADCZENIA OCHOROWICZA.



OŁÓWEK, PISZĄCY BEZ NACISKANIA.



NOŻYCZKI, UNIESIONE W POWIETRZU.

W obu tych doświadczeniach medyum, panna Stanisława Tomczykówna, znajduje się w stanie uśpienia magnetycznego. Doświadczenia wykonywane są przy świetle przyćmionem, a fotografowane przy pomocy błysku magnezowego. Oba te objawy powtarzane już były w Warszawie przy świadkach.

KAROLIN.

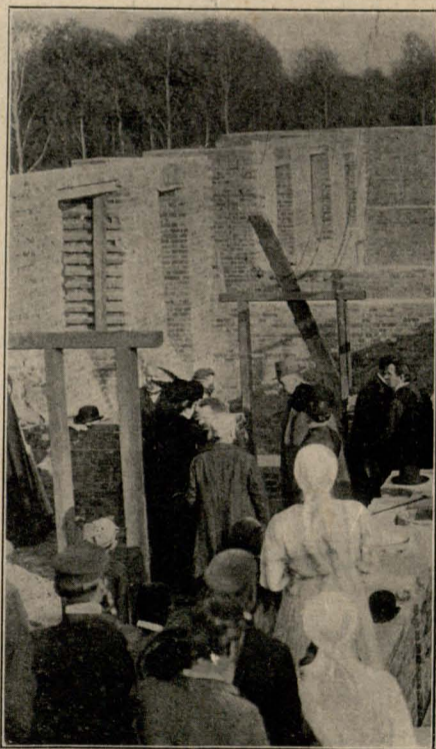
Od imienia ofiarnej obywatelki, p. Karoliny Bobrowskiej, nazwano nową instytucję pierwszorzędnej wagi i doniosłości. Karolin powstał z inicjatywy Tow. pomocy i opieki nad nerwowo i umysłowo chorymi, a dzięki poparciu materialnemu ludzi dobrej woli, do których zaliczyć należy przede wszystkim ś. p. Feliksa Bobrowskiego.

W pięknej miejscowości, tchnącej urokiem szczerzej wsi polskiej, pod Brwinowem, w niedzielę ubiegłą położono kamień węgielny pod budowę uzdrowiska, przeznaczonego dla nerwowo cierpiących mniej zamożnych, a więc chorych przeważnie ze sfer inteligencji naszej, naogół tak źle uposażonej, tak ciężkimi obciążonej obowiązkami, tak często zapadającej w depresję, wywołaną fatalnymi warunkami bytu.

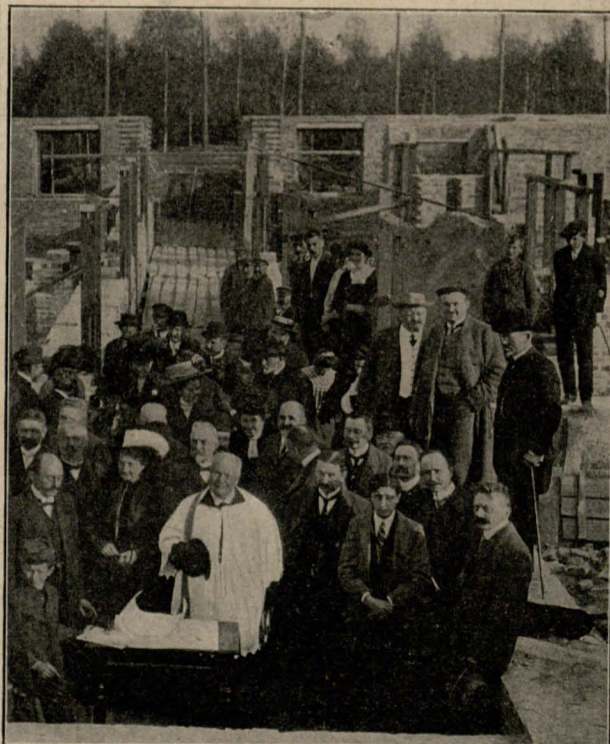
W prześliczny dzień jesienny, czarujący zmieniami barwami błękitu nieba, purpury, złota i zieleni drzew i liści, owiany melancholią łagodną, układającą się na pokrzepiający sen przyrody, święciliśmy uroczystość cichą, a wielką, uroczystość narodzin schroniska dla skołatanych życiem, dla tych, którzy, ze zbyt wrażliwym sercem idąc w świat, za prędko wyczerpali siły i, jako ptak w podróży za morza odpoczywa na maszcie okrętu, odpocząć muszą choć na krótko, aby nie runąć w połowie

drogi, lecz, odzyskawszy moc dawną energię, dopełnić służby dla społeczeństwa i kraju.

Bokażde, by najmniejsze ogniwo ma wagę w narodowym życiu naszym, i po stokróć żał sił, idących na marne, straconych bez-



Wmurowanie puszek z dokumentami.



Poświęcenie budowy zakładu dla nerwowo chorych w Karolinie.

użytecznie i bezpłodnie. Więc cześć i podziękowanie tym wszystkim, którzy z niezmożonym zapalem trudują się, aby jak najrychlej oddać ową instytucję na użytek ziemi naszej.

Spółceństwo jednak poprzeć powinno szlachetne usiłowania jednostek i nie skąpić ofiarnego grosza dla tak doniosłego celu.

Cicho, pogodnie, uroczko kończył się dzień złotej jesieni, i, wdychając ten spokój, rozlany dookoła, myślałem, do ilu to dusz rozdartych, do ilu rozbitych serc i umęczonych mózgów wniwdze błogosławiony spokój, dzięki tym ludziom dobrej woli i dzięki temu groszowi narodu, który po stokróć, po tysiąckróć się opłaci.

Jak się dowiadujemy z aktu poświęcenia, fundusz, dotychczas staraniem i zabiegami Tow. budowie gwoli zebrany, składa się: z zasiłku stołecznego m. Warszawy w sumie 20,000 rb., z zapisu ś. p. Julii Wiemanowej w sumie 12,500 rh. i z innych ofiar ludzi dobrej woli. Potrzebny pod budowę splechódzi ziemi złożył w darze ś. p. Feliks Bobrowski. Budowę według własnych planów prowadzi architekt Czesław Domaniewski. Roboty zaś budowlane wykonywa Tow. Akc. Daab i Martens. Komitet budowy sanatoriumu składają: dr. Leon Babiński, arch. Jan Heurich, inż. H. Gay, dr. St. Orłowski, dr. A. Puławski, dr. St. Rembieliński, dr. K. Wiśłocki, dr. L. Dydyński (przewodniczący). W tym tak wysoce dla Tow. pamiętnym dniu prezydium Tow. stanowili: rejent Z. Wasilutyński (prezes), dr. B. Chrostowski (wiceprezes), dr. K. Wiśłocki (sekretarz), p. Antoni Freyer (skarbnik).



Karolina Bobrowska.

POWRÓT Z WIZYTACYI SYBERYI.



Powrót z wizytacji Syberyi.

J. E. ks. biskup Cieplak dokonał pierwszej wizytacji kościołów katolickich na Syberyi, przyjmowany wszędzie uroczysto i radośnie. Za to, że trud swego nie żałował, że dotarł wszędzie, gdzie wznosi się wieżyczka kościoła, zgotowano mu jeszcze uroczyste przyjęcie w powrotnej drodze w Moskwie. Widzimy powyżej tłum ludu, który pasterza wita, a obok podajemy portret ks. biskupa Cieplaka.



Portrety na dobie.

TERESA PRAŻMOWSKA-WOŁOWSKA.

W ubiegłym tygodniu obchodzono jubileusz czterdziestoletniej pracy zasłużonej autorki i działaczki społecznej, p. Teresy z Wysockich Praż-



się jego potrzebami. Napisała szereg powieści, jak: „Na wyraj”, „Z wyraju”, „Pamiętnik gąski”, „Nie w porę”, „Z procentu”, które cieszyły się zasłużonym powodzeniem, a artykuły p. Wołoskiej drukowały wszystkie niemal pisma. W roku 1893 zmuszona była wyjechać do Odessy, gdzie ją aresztowano i pędzono etapem aż do Archangielska. Po powrocie z wygnania do kraju, kiedy zaczęły powstawać w Warszawie różne instytucje społeczne, p. Prażmowska-Wołoska z żywym oddaniem i zaparciem się pracowała w wielu, że wymienimy Macierz, Towarzystwo opieki nad dziećmi i t. d. To też wśród licznych grona przyjaciół i znajomych, którzy zebrali się, by uczcić jubilatkę, w wymownych słowach słusznie sławiono jej zasługi, składając szczerze i gorące życzenia, by długie jeszcze lata snuła nić zacnej i zbożnej pracy. Do tych życzeń i my się przyłączamy.

Jeszcze jedna wizja przyszłości.

Jawny, choć chwilowy tryumf partii wyrotowych na naszym gruncie z przed kilku lat dał powód do poważnego zastanowienia się nad istotą ustroju społecznego. Zaostrzył się i zmysł krytyczny.

Posypały się, w takiej lub innej szacie: powieści, noweli, dramatu, rozliczne pamflety. Niektóre z nich przywdziały formę satyrycznego obrazu ustroju i rządów w przyszłym państwie socjalistycznym.

mowskiej - Wołoskiej. Zaczęła pisać wcześniej i wcześniej również wstąpiła na arenę pracy społecznej. A na jednym i na drugim polu odznaczała się wielkimi cnotami obywatelskimi, go-

POŚWIĘCENIE DOMU LUDOWEGO W WIELKOWOLI.



W Wielkopolu, w powiecie opoczyńskim, przy licznych udziale okolicznego ludu, odbyło się uroczyste poświęcenie domu miejscowej spółki włościańskiej, która rozwija się doskonale, dzięki nieustrudzonej pracy dwóch działaczy miejscowych, ks. Adama Adamczyka i p. Jana Wielowieyskiego. Ryciny nasze przedstawiają pochód z kościoła do domu spółki, oraz sam dom, porządny, murowany, duży.

Pokłosie wydawnicze.

Alicja Szamota. Orły, fragmenty z życia, z przedmową Cecylii Walewskiej, Warszawa, 1909.

„Orłami“ nazywa autorka młodsze dziewczyny, które po ukończeniu studiów szkolnych idą w świat szukać szczęścia, każda we własnym rozumieniu tego wyrazu. Szkoda, że, zgodnie z zasadami gramatyki, nie dała im miana: „orlic”, ale mniejsza o to. Lecz darować nie możemy pani czy pannie Szamota (ach! ta nieszczęsna gramatyka!), że zapełniła cały tom lichymi kazaniem na tematy, ograne aż do obrzydzenia przez wszystkie katarynki społeczne. Znać, więc posłuchajcie: „Zrozumcie to serce, co pod tym prostym kaftanem tak samo bije dla dziecka swego... jak wasze pod koronkami”. *Trop de xèle, madame... pardon... mademoiselle.* Te drzwi już od 150 lat niosą wywarę!

Wydawnictwa Towarzystwa Szkoły Ludowej, Kraków, 1910.

Dwie piękne książeczki wydało ostatnimi czasy Towarzystwo Szkoły Ludowej w Galicji. W jednej z nich, ozdobionej licznymi rysunkami i planem, Michał Sokolnicki opowiada zwięźle i żywo o „Wojnie roku 1809”. Druga jest dawniej już napisaną, ale nieznaną zgoła nowelą Maryi Konopnickiej, p. t.: „Z 1835 roku”. Przepiękny ten utwór, arcydzieło prozy lirycznej, opowiada, jak w roku 1835 Polakom-wygnañcom, cierpiącym w kopalniach Syberii fizyczne i moralne katusze, jeden z braci przynosi zaszyte pod podszewką munduru kartki niedawno wydanego w Paryżu, a w kraju najsurowiej zakazanego „Pana Tadeusza”, jak te złote i promienne słowa padają, jak rosa dobroczynna, na zaschłe w tępej odrętwieniu dusze, jakie lży gorące i dziękczynne wyciekają z oczu zboliałych... To się nie da opowiedzieć, to trzeba czytać samemu!

Feliks Kopera. Notatki do historii sztuki i kultury w Polsce. Kraków, 1909. Odbito w drukarni W. L. Anczyca i S-ki.

Dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie zebrał w tem wydawnictwie kilkanaście notatek o różnorodnych dziełach sztuki i zabytkach polskich lub Polski dotyczących. Przedstawione tu zostały w dokładnych reprodukcjach i szczegółowo opisane rzeźby z XIV w., np. słynny krucyfik królowej Jadwigi na Wawelu, zworniki sklepienne z sali hetmańskiej w rynku krakowskim; kafele ozdobne, np. z herbami i portretami; monety rzymskie, znalezione na ziemiach polskich, zabytki kościelnej sztuki i architektury w Gdowie, Rzeszowie, Bolesławiu, Przeczycy, Tyńcu; ważnym przyczynkiem do historii przemysłu polskiego jest akt założenia fabryki porcelany i fajansu w Baranówce na Wołyniu z 1803 r. Zajmujące

O jednym z tych utworów, fantazyi p. A. Szifmana p. t. „Pankracy August I”, pisaliśmy niedawno na tem miejscu. Młodemu satyrykowi socjalizmu przybiegł w sukurs starszy towarzysz po piórze, autor „Tyary i korony”, Teodor Jeske-Choiński*).

Schemat powieści „Po czerwonym zwycięstwie” jest bardzo prosty. Po pierwszym upojeniu tryumfem lud w Warszawie i Królestwie zaczyna się burzyć. Wylegają na ulicę męty społeczne, „ekspropriując” na własną rękę i—na własną korzyść. Zniesienie instytucji małżeństwa powoduje upadek moralności publicznej, jeszcze większe, niż w dzisiejszym ustroju, pogwałcenie kobiety. Brak przymusu do pracy idzie na korzyść próżniaków i wykpiszów, którzyby chcieli mieć największe zadowolenie swych potrzeb przy najmniejszym wysiłku mięśni. Zamknięcie kościołów i zniesienie religii wywołuje oburzenie wśród wierzących i hałaśliwe demonstracje przeciw rządowe. Zamiar równego podziału gruntów napotyka zacięty opór ze strony chłopów.

Naczelników rządu ogarnia rozpacz i zwątpienie. A najwięcej—„gospodarza”, czyli prezydenta, młodego marzyciela Utopijskiego, bohatera powieści.

Wreszcie—nowy ustrój komunistyczny pada, a wraz z nim i Utopijski, wierny czerwonemu sztandarowi, nie jak Pankracy, bohater Szifmana, który sprzeniewierza się ideałom równości, otaczając się, jako „Pankracy August I”, blaskiem i przepychem *ancien régime*'u. Ten lud, na który najwięcej liczyli socjaliści, wali w gruzy niefortunna budowę.

Tak wygląda polski Bellamy *à rebours*.

* Teodor Jeske-Choiński. Po czerwonym zwycięstwie, obraz przyszłości, Warszawa, 1909.

notatki dra Kopery tworzą wartościowy album artystyczny, nie pozbawiony również głębszej wartości naukowej.

Redakcja *Herbarza Polskiego* Adama Bonieckiego zawiadamia prenumeratorów i ogół czytelników, że *Herbarz* w dalszym ciągu wydawany będzie przez rodzinę ś. p. Adama Bonieckiego, jak dotychczas, w miesięcznych zeszytach. Gdyby miała zajść jaka paromiesięczna przerwa w wydawnictwie, prenumeratorowie zawiadomieni zostaną przez ogłoszenie w gazetach. Redakcję główną obejmuje dawny współpracownik autora, baron Artur Rayski, i prowadzić ją będzie na podstawie zebranego przez ś. p. A. Bonieckiego materiału i w jego duchu i myśli.

Przeclaw Smolik. Po drodze, poezje. Kraków-Warszawa, 1909 r.

Nazwisko p. Przeclawa Smolika po raz pierwszy bodaj spotykamy w literaturze. To też poezje jego, zebrane w tomie niniejszym, oryginalne i łomaczne (z Giordana Bruna, z poetów „młodych Niemiec”, jak Emilia Paulsen, Hesse Bierbaum, Müller, Hoffmann, Hartleben, Schaukal), noszą wszelkie cechy pierwszych poczynić: czasem powieje z nich duchem szczerego natchnienia, zanuci śpiewnie, zabłyśnie pięknym obrazem poetyckim; a tuż obok — rażąca naiwności stylowe lub wersyfikacyjne aż proszą się o korektę autorską, o wygładzenie ostateczne, o pilniejszą staranność w doborze środków artystycznych. Niewprawną to jeszcze ręką, ale kiedyś może zdobędzie należytą rutynę.

ZMARLI.

FELIKS ZAKRZEWSKI, wybitny ziemianin, radca Dyrekcji Głównej T. K. Z., zmarł w wieku lat 63. Po ukończeniu gimnazjum w Płocku osiadł na roli, gospodarując w majątku rodzinnym Wołowej, w Płockiem. Jako doskonały rolnik i administrator, dorabiał się szybko i warsztaty swej pracy ciągle rozszerzał; w końcu był właścicielem



majątku Rozprza, w ziemi piotrkowskiej. Ale praca zawodowa nie wyczerpywała wielkich sił i energii zmarłego; znajdował czas i możliwość na szeroką działalność społeczną, czy to jako radca T. K. Z., czy jako członek dawnej Sekcji rolnej, a następnie Komitetu Centralnego Towarzystwa Rolniczego, czy wreszcie w „Saopie” i „Ceresie”. W latach ostatnich, kiedy znalazła się sposobność do pracy wśród ludu i dla ludu, ś. p. radca Zakrzewski zabrał się do niej gorąco i konieczność tej pracy zawsze i wszędzie podkreślał; był też wśród włościan osobistością znaną i popularną. Szanowano i lubiono zmarłego wszędzie; za dobrą radę w każdej sprawie, za pożyteczną pracę na każdym posterunku, wreszcie za wielkie przyjaźnie osobiste i towarzyskie. To też niespodziewany zgon jego wywołał szczerzy żal w sercach wszystkich tych, którzy go znali, a zaświadczał o tem ten liczny pochód żałobny, który zwołali ś. p. Zakrzewskiego na miejsce wiecznego spoczynku odprowadził.

OFIARA TERRORU RZĄDOWEGO.



Franciszek Ferrer wysiada z wozu więziennego, z rękami związanymi, na miejsce egzekucji, w zamku Montjuich.

W KTOR PIĄTKOWSKI, magister prawa i administracji, wychowawiec Szkoły Głównej, zmarł w Warszawie w wieku lat 68. Reforma sądowa z przed laty trzydziestu zastała zmarłego na wysokim już stanowisku, w sądownictwie; musiał je jednak opuścić i zajął się adwokaturą. Równolegle pracował ś. p. Piątkowski dla dobra sceny



i sztuki polskiej, zakładając i kierując przez lat kilkanaście szkołą dramatyczną przy Tow. muzycznym; poświęcał jej cały czas wolny od zajęć zawodowych i ponosił na jej rzecz znaczne ofiary pieniężne. Szkoła ta wykształciła i wprowadziła na scenę setki artystów, z których niejeden zyskał sławę i uznanie. Ubywa Warszawie człowiek pożyteczny i zasłużony.

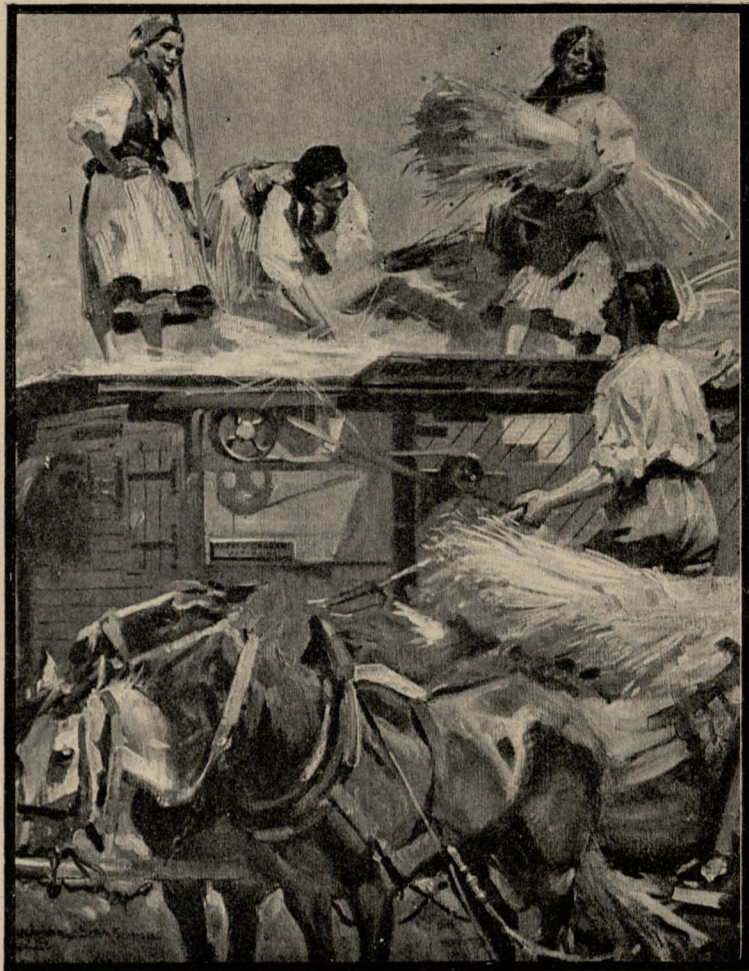
Nasze Premium.

Nasze premium artystyczne,

„Album Grunwaldzkie” Wojciecha Kossaka,

rozesłane będzie wszystkim naszym prenumeratorom jeszcze w roku bieżącym. Ze względu jednak na techniczne wykończenie kartonów barwnych, wymagające dłuższego czasu, nastąpi to nie wcześniej, jak w grudniu r. b.

REKLAMA I ARTYZM.



Malował Wojciech Kossak

Afisz artystyczny.

Rozmaite są genezy artystycznych pomysłów twórczych. Historia i psychologia sztuki często poruszają ciekawe ze wszech miar objawy, wśród których we wrażliwym umyśle artysty budzi się podnieta. Pod jej to wpływem tworzy swoje dzieła.

Źródło narodzin plakatu znanych składów maszyn i narzędzi rolniczych, pod firmą Alfred Grodzki, jest najmniej charakterystyczne.

Linie geometryczne, a więc suche i pod względem malarskim niewdzięczne, jak się zdawało, najmniej odpowiadałyby rozmachowi takiego mistrza, jakim jest nasz, rdzennie swojski malarz rodzajowy sielskich i koni, Wojciech Kossak.

Rzeczywistość mówi jednak zgoła innego.

Oto co słyszałem o powstaniu tegoż plakatu. Jeden z szefów firmy cytowanej, p. Stanisław Grodzki, opowiadał mi:

— Z Wojciechem Kossakiem łączą mnie dawne stosunki przyjacielskiej zażyłości. Niedawno znakomity malarz odwiedził mnie w moim gabinecie biurowym. Wywołany przez interesanta,

wyszedłem do biura. Za powrotem zastaję Kossaka, który z właściwą sobie werwą kreśli coś ołówkiem na ćwiartce papieru.

— Przeszedł mi pomysł plakatu reklamowego dla twoich narzędzi—mówi artysta, już porwany zapałem twórczym.

Ze szkicu odręcznego, jak widzimy, powstał obraz rodzajowy w całym tego słowa znaczeniu, w dodatku obraz swojski, charakterystyczny i drgający życiem. Powiedzmy więcej: obraz ten odznacza się zgoła rodzimą psychologią naszego parobczaka wiejskiego.

Skorzystał z chwilowej nieobecności dozorczy-karbowego, przerwał pracę... Pilniejszy mu... „flirt” ze szczerzącą zębą Marysią.

Anglik, Amerykanin, lub Niemiec zupełnie inaczej wyraziłby swoją lokalną scenę „młócenia na parze”... Znakomity artysta polski „pracę na folwarku” odtworzył po swojemu. Uczcił, iż tak powiem, gawędziarstwo chłopca polskiego.

Dzieło niepospolite, jak wszystkie Wojciecha Kossaka, znalazło wyśmienite odbicie na reprodukcji, która w rządzie naszych plakatów reklamowych stoi niezawodnie na najpierwszym miejscu.

W. Golińska

PLAC TEATRALNY, POD FILARAMI, BRONZY, PORCELANA, PERFUMY.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. NAJLEPSZE UBIORY MĘSKIE.

„ŚMIECH” Tygodnik humor. ilustr. HOŻA 44, w Warszawie kwartalnie rub. 1, z przesyłką kwartalnie rub. 1 k. 25.

MEBLE STYLOWE M. KALMUS
MARSZAŁKOWSKA 141. TELEFON 28-87.

DERENIÓWKA



F. JANKOWSKIEGO.

TOW. S. I. CZEPELEWIECKI i S-wie

poleca:
Mydła, perfumy „ANTIQUE”, wody koloń. kwiat.
Mydła, perfumy „GOÛT d'OR”, wody koloń. kwiat.
Mydła, perfumy „IDEAL”, wody kolońskie kwiat.
Mydła, perfumy „CAPRICE”, wody kolońskie kwiat.
oraz NOWĄ WODĘ KWIATOWĄ w 20 zapachach.

TADEUSZ JAWORSKI:

PAMIĄTKI WIELKOPOLSKIE

RYDZYNA.

Dramat bolesny Rydzyny przez śmierć ostatniego ordynata w nowej nam, przedostatniej ukazuje się odstępnie. Jakaż ogromna zmiana losów przez lat 150! Nadspodziewanie szybko stanęli Sułkowscy u szczytu potęgi i blasku; zdawaćby się mogło, że stanowiska ich i fortuny nic zachwiać nie może, że dzięki planom fundacji, mądrze obmyślanym, oni i następcy ich przetrwają wieki. Tymczasem od samego początku jakiś ukryty błąd rysuje podstawy olbrzymiego gmachu; kruszeje to, co znikome w życiu ludzkim, a brak duchowej siły twórczej przyspiesza zupełny upadek. Zaiste, *fortuna variabilis!*

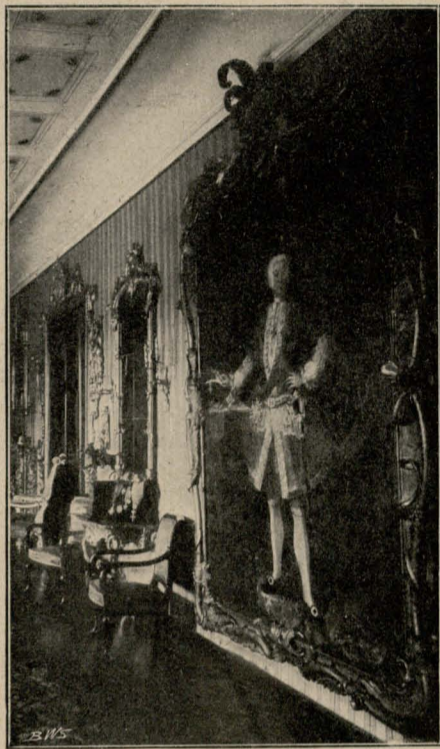
Trudno sobie wystawić w banalności swej i indolencji tragiczniejszą postać, nad tę którą przedstawia ostatni na Rydzynie książę-ordynat, Antoni Sułkowski. Życie jego było jednym pasmem poczęści atawistycznych grzechów i niedorzeczności, nawet śmierć przyszła w nieodpowiedniej już nie dla niego, ale dla znękanego społeczeństwa porze.

Dziwny, zaiste, był stosunek tego najwyższego z hierarchii stanowej rodaka do swego narodu. Powołany stanowiskiem, rodem i nadszarpaną, co prawda, ale znaczną jeszcze fortuną, mógł pierwszą w kraju odegrać rolę. Ale wychowany w spaczoonych pojęciach, o słabej woli czynu, a za to nieokiełznanej fantazji i chęci używania, upadał coraz bardziej w opinii i szacunku u swoich. W końcu już tylko niewybredne niemieckie towarzystwo bywało w jego domu. Był dożywoćnym członkiem pruskiej izby panów. Uczęszczając podobno nawet pilnie na posiedzenia tej archaicznej instytucji i od czasu do czasu robił wysiłki, aby oddać usługi krajowi. Nieudolne artykuły w niemieckich gazetach, nie czytane memoriały do ministrów pruskich, to jedyne jaśniejsze chwile jego wielkopańskiej dyplomacji. Ale i te przyćmiły rychło kompromitujące wypadki jego życia prywatnego. Wszędzie czuł się u siebie w domu: w Belgii, Anglii, Francji, Włoszech, Berlinie i Monachium, tylko nie u swoich, nie w Rydzynie. Umarł, obcy dla społeczeństwa.

Zatem nie troska o niego i wcześniej wymarłe jego potomstwo napępniała od lat

kraj cały; chodziło raczej o olbrzymi, na nasze stosunki, kawał ziemi, o te podległe mu sioła liczne i zamieszkujące je lud polski, o moralne i tradycyjne znaczenie zachowania Rydzyny w rękach polskich.

On zaś jakby tego nie czuł i nie widział. Synów wychował fatalnie: a gdy za-



Fragment salonu I-go piętra z portretem Aleksandra ks. Sułkowskiego, brata pierwszego ordynata.

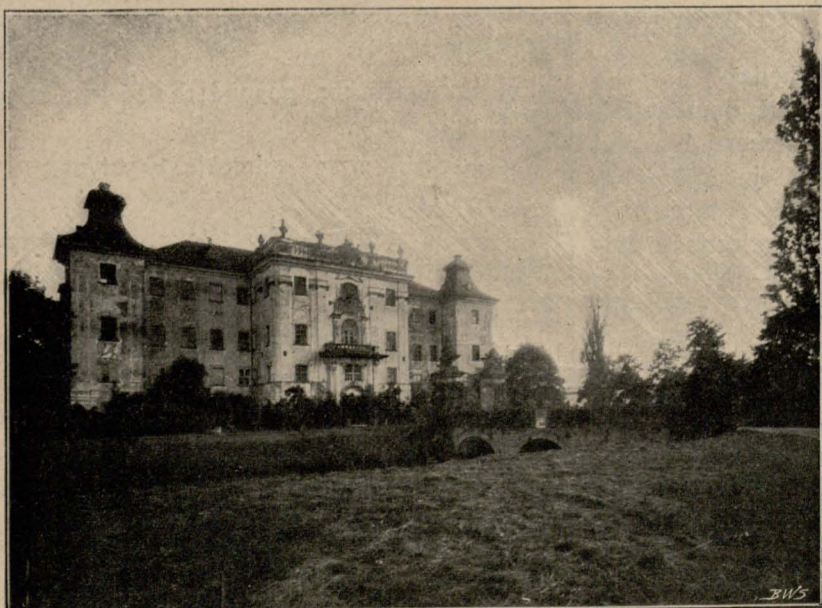
czą troszczyć się o ich zdrowie, zagrożone dziedzicznymi i nabytymi chorobami, było jnż zapóźno. Obaj zmarnieli i zgaśli, nikomu nie znani, w młodym wieku; jeden żonaty dwukrotnie, ale bezdzietny, drugi w stanie bezżennym. Sam po śmierci pierwszej żony, z domu d'Alcantara, ożenił się z niemiecką śpiewaczką, Pepitą Schmidt.

Gdyby nawet było i z małżeństwa tego potomstwo, nie miałyby wedle aktu ordynacyjnego prawa do sukcesji. Umarł ten książę-dekadent, lekkomyślny, słaby i dobroduszny *bonvivant* do końca życia, w Monachium, i tam go też, w ojczyźnie swej, wdowa pochowała. Na wspomnienie jego goręca napępnia serce i usta, jedno tylko jeszcze zostaje życzenie: aby pamięć ostatniego Sułkowskiego coprędzej zagasła!

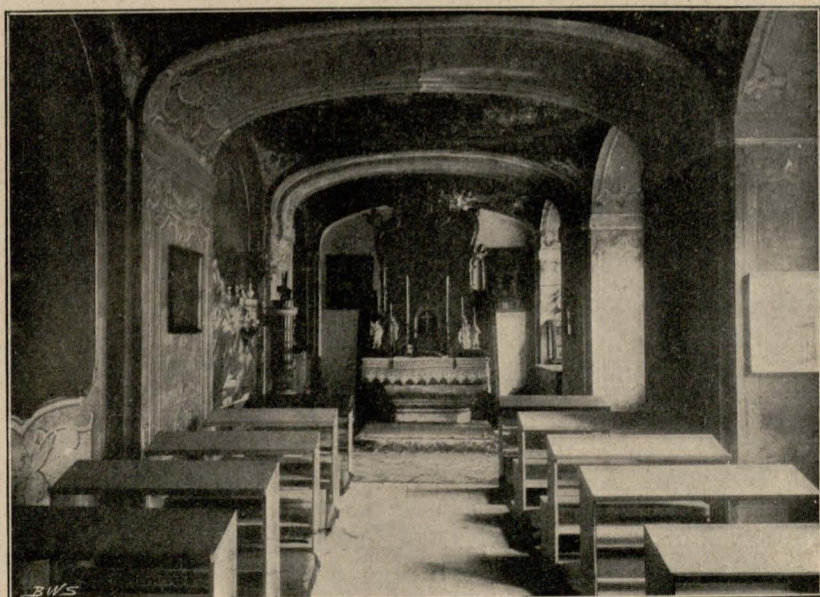
Dzisiaj z kilku stron ostatnie czyni się wysiłki, aby Rydzynę dla Polski uratować! Niestety, stoją w drodze nieprzezwyciężone prawie przeszkody. Aby sprawę należycie wyjaśnić, trzeba nam cofnąć się do roku 1783, kiedy to staraniem fundatora ordynacji, Augusta Sułkowskiego, dnia 30 stycznia akt ordynacyjny, podpisany przez kanclerzy Rzeczypospolitej, wciągnięty został do ksiąg trybunału piotrkowskiego. Syn pierwszego księcia, Aleksandra Józefa, kanclerza Augusta III, August, wojewoda gnieźnieński, kaliski i poznański, marszałek Rady Nieustającej, pierwszy dostojnik na dworach: warszawskim, petersburskim i wiedeńskim, odziedziczył i zebrał olbrzymią fortunę. Miał wraz z braćmi młodszymi 60 tysięcy morgów w samej Wielkopolsce, majątki na Śląsku austriackim, w Saksonii, Prusach i Małopolsce, pałace w Warszawie i Dreźnie, utrzymywał własnym kosztem pułk piechoty w Rydzynie i dwa teatry, w Warszawie i Rydzynie, zwał się księciem na Bielsku i hrabią na Lesznie, Zdunach, Kobylinie i Miejskiej Górcie, a we włościach swych rządził, chociaż nie zawsze stało pieniędzy gotowych, przezornie i dobrotliwie. Książę August nie zapominał nigdy o wielkości i rozroście swego świeżym blaskiem okrytego rodu, ale był dobrym i gorąco krajmiłującym Polakiem. Świadczy o jego patryarchalnym usposobieniu chociażby utworzenie własnym kosztem trzech szkół w Rydzynie: kadeckiej, szlacheckiej i żeńskiej, oraz przekazanie całej ordynacji w razie wygaśnięcia agnatów komisji edukacyjnej.

Aby przeszkodzić rozdrobnieniu fortuny, utworzył ostatnią za czasów Rzeczypospolitej ordynację. Należą do niej, wedle aktu piotrkowskiego, wszelkie dobra nieruchome i ruchome księcia Augusta, nie podlegające działom, zamianie, zastawom, ani zadłużeniu. Wkrótce przystąpili do ordynacji z połową osobistego majątku bracia Augusta, Aleksander i Antoni, wyłączył się książę na Bielsku, Franciszek. Wedle aktu ordynacyjnego sukcesorami „pierwszego prawa” są wymienieni bracia—książę August był bezdzietny—i ich synowie, następcami „drugiego prawa” potomstwo płci męskiej, idące z pięciu siostr fundatora, zamężnych, Szembekowej, Sapieżyny, Potockiej, Wielopolskiej i Łubowej, oraz trzech hrabiów Sułkowskich: Teodora, Kazimierza i Ignacego, wreszcie synowie z Łubów Bagniewskiej i z Sułkowskich Zbijewskiej.

(DN)



ZAMEK W RYDZYNI.



WNĘTRZE KAPLICY W RYDZYNI.



I zatrąbiła najregularniej sygnał zborny.

KONSTANTY GORSKI

JÓZEF WEYSSENHOFF:

UNIA

POWIEŚĆ LITEWSKA.

Zastrzeżę się prawo przedruku. 43)

Krystyna nie czuła się prawie właścicielką Auszry wobec tego zatwardziałego technika.

— Czy pan będzie co rąbał?—spytała nieśmiało.

Marczak uśmiechnął się z kwaśnym politowaniem:

— Najwyżej krzaki i gałęzie dla oznaczenia kilku linii.

— A, to dobrze!

Na tem skończyła się konferencja, i Marczak odjechał.

W parę dni później o wschodzie słońca Krystyna siadała do sanek z księdzem Antonim na wyprawę do Auszry. Z Ponikszty do Auszry było nieco bliżej, niż do Rarogów, ale zawsze około pięciu mil; tylko że świeża sanna skracała czas jazdy. Razem z projektowaniem chodzeniem po lesie wyprawa nie mogła się zmieścić w krótkim dniu grudniowym, przewidziano więc nocleg u Sidorkiewicza albo u dzierżawcy folwarczku pod lasem, nocleg niewygodny, w ubraniu; żywność zabrano z sobą. Była to wyprawa niezwykłego zakresu, nie przejazdka tylko.

Podróżnych grzała i krzepiała szczerą ochota. Pani Krystyna, ubrana w strój myśliwski, krótszy niż zwykły, i w czapkę, otulona była nadto w dużą białą szubę; ksiądz Antoni tonął w płowych szopach, wyglądał młodo i po świecku. Sanki sunęły

rażnie, podzwaniając sennie jednym dzwonkiem, przytwierdzonym do dyszla.

— Gdzie też ja pędzam księdza profesora za moimi sprawami!—odezwała się Krystyna.

— Niedługo już, moje dziecko...—odpowiedział ksiądz Wyrwicz głosem, który nie ubolewał nad dniem dzisiejszym.

Krystyna stwierdziła z przyjemnością, że ksiądz bawi wycieczka prawie tyle, co ją samą.

— Jak zbudujemy dom, ksiądz profesor u nas zamieszka? I Piotra weźmiemy—prawda?

— A gdzie ten dom będzie?

— Mamy zamiar postawić dom na folwarczku Auszra i folwark rozszerzyć z pod lasu. Dzierżawca ustąpi, ma już tylko rok kontraktu.

— Więc Auszra już oczyszczona z długów, urządzona, zabudowana?—pytał ksiądz Antoni, odchylając kołnierz szuby, aby spojrzeć w marzące energicznie oczy Krystyny pośród zaróżowionej od mrozu twarzy.

— Ja mam prawie pewność, że Kazimierz to urządzi. Przecie tu wszystko może być: i jego przędzalnia, i nasz dom, i szkoła, i takie centrum dobrej kultury, o którym ciągle mówimy.

— Daj Boże!... zobaczymy. A nie mów tak dużo, moje dziecko, bo wiatr w polu silniejszy i pierwsze mrozy zdradliwe.

— Dobrze; tylko jeszcze powiem: właśnie to wszystko trzeba urządzić pod Rarogami, pod samym bokiem Chmary. My go przetrwamy.

— To już pobudka gorsza—odrzekł ksiądz—nie czyni się dobrze złemu na przekór, ale dla miłości dobra.

Teraz Krystyna zamilkła, i ujechali kilka wiorst bez rozmowy. Droga wpadła w olszynę, fioletową wśród bieli, potem w wioskę, w pas powietrza zasłonięty, przeto cieplejczy. Przemówił znowu ksiądz Wyrwicz:

— Mówiono mi u dziekana, że Chmara przenosi się na stałe do Petersburga, a w Rarogach ma gospodarować jego synowiec pułkownik.

— To gorzej—odrzekła Krystyna.

— Dlaczego?

— Z tamtym, Eustachym, warto przynajmniej walczyć. Ten to już nic—taki sobie pułkownik.

— Oj, młodzież!—rzekł ksiądz—konieczne walki wam potrzeba. A jednak postępek polega nie na zwalczaniu przeciwników, lecz na doskonaleniu sił dobrych. Dobro jest rozmaite, jak zło; samo się krzewi i roznosi, byle tylko źródło jego, ognisko, czy gniazdo, jak chcesz to nazwać, pozostało czyste.

Tak się gwarzyło od czasu do czasu i jechało przyjemnie, choć mróz szczypał

po twarzach. W sercach zwłaszcza było gorąco. Dojechano w niespełna trzy godziny do chaty Sidorkiewicza, pogrążonej w ciszy snu zimowego.

Nie wchodząc do wnętrza, Krystyna objęła wzrokiem kąt ziemi kochany. Jeziorko nie zamarznęte patrzyło okiem wiecznie ciemnym, choć przyprószonym po rżesach siwizną. Ziemia była jaskrawo biała, las przezroczywszy, niż w wyobraźni Krystyny; tylko piramidy jodeł stały zgęszczonym mrokiem na tle perłowego nieba. I całe to ustronie wyglądało mniejsze, niż latem, a milczało tak głucho, jakby nie chciało nic wydać ze swych wspomnień. Zbudziła je dopiero Krystyna, odzywając się do księdza Antoniego:

— Tu pierwszy raz rozmawiałam z nim...
— Tutaj?... — uśmiechnął się blade ksiądz.—Pamiętam i ja to miejsce z przed lat... No, a teraz trzeba się jakoś dowiedzieć, w której stronie dzisiaj pracuje pan Marczak.

Wyszła z chaty żona Sidorkiewicza, odziana w męski kozuch barani, i, ucałowała ręce przybywających z widocznym zado-

woleniem. Gdy ją spytali, gdzie mąż i ten pan przyjezdny, nie umiała dokładnie odpowiedzieć, ale po chwili namysłu rzuciła się napowrót do chaty i wyniosła z niej niebawem rozek myśliwski sygnałowy, podając go księdzu Antoniemu.

Jednak ani ksiądz, ani Krystyna nie umieli trąbić.

— Sidorkiewiczowa pewno umie?

Kobieta podniosła wstydliwie rękę do twarzy, przyczem się okazało, że ma wesołe, młode jeszcze oczy i piękne zęby, potem wzięła rozek, odwróciła się od obecnych i zatrąbiła najregularniej sygnał zborny. Po chwili takż sygnał odpowiedział z lasu.

(DCN)



TE SKNOSTY.

— Co pan dobrodziej powie o takiej sytuacji psychologicznej: kobieta, czterdziestoletnia, namiętna, arystokratka, wychowana w przepychu, porzuca męża i rodzinę, aby żyć z człowiekiem, który jej nie był nawet formalnie przedstawiony?

Nic nie mogłem, niestety, odpowiedzieć, ponieważ w tej samej chwili pan Adolf trzymał mię dwoma palcami delikatnie za nos i brzytwą manewrował po górnej wardze. Pytanie było zresztą tylko wykwintnym zwrotem stylowym, po którym nastąpiła krótka pauza, widocznie, abym miał czas wniknąć w niezwykłość sytuacji, poczem pan Adolf ciągnął dalej:

— Według mnie jest to najzupełniej możliwe, najzupełniej... Kobieta, gdy ją opamiętuje namiętność, nie uważa na przesady towarzyskie. Ach!—krzyknął przestraszony i zaraz, pochylając się ku mnie, dorzucił z westchnieniem głębokiej ulgi:

— Nic, nic, nic... nawet wcale krwi nie ma... Pan dobrodziej ma dziwnie delikatną skórę... Kobieta... Czy i włosy przyczesać?

— Owszem...

— Kobieta jest zagadką psychologiczną...

Pan Eustachy, który, milcząc, przysłuchiwał się naszej rozmowie, parsknął krótkim, przyciszonym śmiechem:

Pan Adolf powtórzył dobitnie:

— Kobieta jest zagadką psychologiczną...

I, zwracając się do towarzysza, dodał pogardliwym tonem:

— Pańska ironia jest nie na miejscu.

— Wypraszam sobie nauki moralne!—odezwał się cierpko pan Eustachy.

— A po co się pan wtrąca do tego, co mówię?

— Wolno mi się śmiać...

— Zna pan przysłowie... po czem poznać...

— Po tem, co bez sensu plecie.

Dyalog zaczynał się stawać drażliwy. Przerwałem sentencyonalnie:

— Każdy człowiek ma swoje przekonania.

— Święta racja—potwierdził pan Adolf z głębokim uznaniem w głosie.

Pan Adolf i pan Eustachy darzyli mnie swoim zaufaniem, w skutek czego nieraz bywałem świadkiem bardzo ostrych utarczek słownych, oczywiście, o ile prócz mnie nie było narazie innych gości ani właściciela zakładu. Zdarzało się to dość często, ponieważ zakład ów wogóle nie posiadał licznej klienteli, sam właściciel zaś, poważny mężczyzna z długą, czarną brodą, rzadko się ukazywał w sklepie. Przeważnie spędzał czas w domu, pracując, podobno, nad jakimś doniosłym wynalazkiem. Pod względem zapatrywań na ten wynalazek obaj jego pomocnicy różnili się zasadniczo. Pan Adolf, który był skłonny do eutuzyazmu, wierzył, „iż z tego coś będzie”, sceptyczny pan Eustachy natomiast nazywał swego chlebobawcę maniakiem i przepowiadał, że go „w krótkim czasie dyabli wezmą”.

Tak samo zresztą różnili się we wszystkich zapatrywaniach.

Pan Adolf, wysoki, szczupły brunet, o wypukłych oczach, które miał zwyczaj mrużyć zlekka, prawdopodobnie, aby bardziej wyaksmitniać powłóczyństwo spojrzenia, był, jak mi to sam wyznał, artystą w duszy. Skłonności artystyczne były w nich zresztą rodzinne: jeden z kuzynów studiował malarstwo w Paryżu, a siostra wygrywała z pamięci na fortepianie najtrudniejsze rzeczy, zarówno wesołe do tańca, jak i poważne do słuchania. Na tę dwustronność jej uzdolnienia pan Adolf kładł

zawsze szczególny nacisk, jako na objaw do pewnego stopnia fenomenalny. Poza tem z dość częstych, choć dorywczych rozmów dowiedziałem się, że pochodził on ze starej i znakomitej rodziny, która zajmowała w Rzeczypospolitej wysokie dostojeństwa i urzędy. Powtarzał nieraz z melancholijnym westchnieniem:

— Zeszedł człowiek na psy, ale, gdyby tak dobrze w koligacjach poszukać...

Okoliczności nie pozwoliły nam nigdy podjąć tego wdzięcznego zadania.

Zwykle, gdym wchodził, obaj panowie witali mnie „mojem uszanowaniem”. Ale każdy z nich inaczej wymawiał te dwa wyrazy: pan Adolf przeciągłe, z czarującym uśmiechem, pan Eustachy krótko, jak komendę. W chwilę potem, w białej, powłóczyściej szacie, zasiadałem na fotelu, przed lustrem, i pan Adolf, ostrząc brzytwę na pasku, którą to czynność wykonywał z niesłychaną wprawą i pośpiechem, rozpoczął rozmowę, najczęściej od spostrzeżeń, które świadczyły o jego przenikliwej intuicji meteorologicznej:

— Czy pan dobrodziej nie uważa, jakie to już mamy dni dłuższe?

— Aha, rzeczywiście...

— Pan dobrodziej czytał dzisiejsze pisma...

I przeważnie w dalszym ciągu już sam prowadził dyalog, ponieważ, mając twarz zasmarowaną mydłem, byłem pozbawiony możliwości odpowiadania:

— ...W odcinku wychodzi znakomita powieść... Szkoda tylko, że tak mało dają... znakomita, czyta się z zapartym tchem... Ach, ci francuscy pisarze, jak oni znają serce kobiety... Występuje tam właśnie jedna księżna... Czy brzytwa nie drapie?... Jedna księżna, Greczynka z pochodzenia, niesłychanie subtelna, która, znudzona banalnością swojej sfery, och, bo arystokracya na całym świecie jest banalna, szuka miłości wśród ludzi pracujących... Niech pan dobrodziej swobodnie oprze głowę... To ją odradza... Wyjeżdżają razem do Indyi, i on ze skromnego handlowca zostaje odrazu jaśnie panem. Jak pan dobrodziej sądzi, wszak sytuacja taka możliwa jest i u nas?

— Zapewne.

— Tak... tak... Dusza kobiety to jest tablica pełna zagadek... Pan dobrodziej powi-

nien sobie naftą nacierać włosy, a jeszcze lepiej naftą z olejem rycynowym...

Czasami gdy pan Adolf był zajęty i golił mię pan Eustachy, rozmowa przybierała zgoła inny obrót.

Pan Eustachy był wrogiem kobiet, a właściwie i nie wrogiem nawet, tylko bezgranicznie je lekcewał. Uważał, że kobieta jest istotą znacznie niższą od mężczyzny, powoływał się zawsze przytem na autorytet znakomitego zagranicznego pisarza, którego nazwisko w potrzebnej chwili stale ulatywało mu jednak z pamięci. Ale, mając zaufanie do mojej encyklopedycznej wiedzy, zastępował je perorowaniem spokojnem:

— No ten, ten... szanowny pan wie przecież...

Poczem dodawał z lekceważącym wzruszeniem ramion:

— Zresztą kobiety mają mózg znacznie lżejszy, niż mężczyźni.

Pan Adolf przerywał mu zwykle wówczas:

— To wcale nie jest naukowo stwierdzone.

— Któż to panu powiedział, że nie?

— Ważył pan?

— Ja nie ważyłem, ale ważyli inni... Po cóżby trupów krajali w prosektoryach... Tak sobie, żeby noże tępić?

W tych zawiłych kwestjach naukowych musiałem odgrywać rolę arbitra. Starałem się zawsze być pojednawczym.

— Zresztą — rozstrzygał wątpliwości pan Adolf — kobieta ma mózg w sercu. Serce to grunt, i nie zawracaj mi pan głowy.

— Znalazł się filozof!

— Pewno, bo ja biorę z życia to, co jest piękne. Człowiek na to jest stworzony, żeby kochał.

— Gadasz pan, jakbyś pan miał szesnaście lat...

Wzrastającemu zacierzewieniu zwykle szczęśliwie kładł kres przypadek. Pan Eustachy w zapale dyskusji zacinął mię brzytwą.

Raz na taką scenę wszedł sam właściciel zakładu.

Zawrzało.

— Cóż to, klient jest prosię, że go pan dźgasz brzytwą pod gardło! — zahuczał nad zastydym i czerwonym, jak rak, panem Eustachym... — Najmocniej szanownego pana przeprasza — zwrócił się do mnie, sapiąc z gniewu.

Zapewniłem go, że sam nieopatrzny ruchem głowy spowodowałem skaleczenie.

Namiętnością pana Adolfa była miłość, pana Eustachego loterya. Żył nadzieją wygrania wielkiego losu i był święcie przekonany, że go zdobędzie. Wszystkie kieszenie miał wypchane biletami na loterye serbskie, bułgarskie, tureckie-tytuniowe, węgierskie, i wicznie studyował tabelę wygranych.

To, że stale przegrywał, nie zniechęcało go. Bo, jak mi tłumaczył, z każdym dniem, a nawet z każdą chwilą, szanse jego tak się zwiększały, że już-już, lada moment, fortuna musiała mu się uśmiechnąć.

— Bo, proszę szanownego pana, przecież w wyższej matematyce jest nawet taka nauka: rachunek prawdopodobieństwa, więc można algebraicznie wyliczyć... zresztą bardzo łatwo porachować. Przecież rocznie milion ludzi na loteryach wygrywa, nie liczę stawek, tylko większe wygrane.

— Milion ludzi? — powątpiewał pan Adolf.

— Cóż pan myślisz? w Europie i w Ameryce.. najmniej milion, jeśli nie więcej...

— A ponieważ — zwracał się do mnie — rok ma 525,600 minut, więc dwa razy na minutę ktoś wygrywa...

— Przecież w nocy niema ciągnięć — wtrącał się z sceptycznym uśmiechem pan Adolf.

— O, wiedział, co powiedział... Jak u nas jest noc, to na drugiej półkuli dzień...

— Dużo panu z tego przyjdzie, że w Ameryce ktoś wygra...

— Nie wtrącałby się pan, jak pan najprostszego rachunku nie możesz zrozumieć. Dwa razy na minutę ktoś wygrywa. I otóż w rachunku prawdopodobieństwa jest matematycznie wyliczone, że na każdego z tych, co grają, kolej przyjść musi.

— I cóż pan z tymi pieniędzmi zrobi?

— Z panem się nie podzielę, to pewno.

— Przerznie pan w totalizatora.

— Także byłbym głupi grać w totalizatora w Warszawie... Pojadę do Monte-Carlo, z panami będę grał w klubach.

— Czekają tam na pana!

— Najlepszy herb — to rubel.

— Jak kto nie jest w tradycjach wychowany...

— W tradycjach...

— Człowiek bez rasy i bez tradycji, choćby mu dać nie wiem jaki majątek...

Temi niedomówieniami kończyła się zwykle rozmowa. Pan Adolf dawał mi nieznacznie oczami do zrozumienia, że z towarzyszem jego wogóle w dyskusje wdawać się nie warto. Pan Eustachy wyczekiwał chwili, w której pan Adolf odwracał się od nas, i wówczas, przykładając palec do czoła, zakreślał nim małe kółko... Jednakże, mimo te różnice w poglądach, obaj, o ile mogłem zauważyć, bardzo się lubili wzajemnie.

Stosunki nasze przyjazne trwały już dość dawno. Pewnego dnia pan Adolf zauważył z przyjemnem zdziwieniem:

— Pan dobrodziej już u nas ósmy abonament kończy.

— Czas leci...

— Leci, leci... — powtórzył melancholijnie.

Po chwili dodał z goryczą w głosie:

— Jednak na całym świecie niema chyba tak marnej arystokracji, jak nasza.

— No, czemu?

— Strupieszala, panie, ludzie bez temperamentu, bez nerwów. Mało to zagranicą jest takich wypadków, że kobiety z najdostojniejszych rodzin porzucają swoją sferę, aby szukać miłości wśród ludzi pracy. A przecież tam arystokracja starsza jest od naszej... Wszystko się od wojny krzyżowej wywodzi... I przez to się odradzają... A u nas co? Czy pan dobrodziej nie zgodzi się ze mną, że tego rodzaju sytuacje psychologiczne są u nas znacznie trudniejsze?

— Zapewne.

Pan Adolf milczał przez chwilę, próbując ostrza brzytwy na paznociu.

— No, ostatecznie i u nas możliwe — dodał twardym głosem.

Raz, kiedy wszedł, jak zwykle, się ogolić, pana Adolfa nie było w sklepie. Towarzysz jego rzucił się ku mnie błady i zmieszany.

— Wie pan, co się stało?

— Co takiego?

— Pan Adolf życie sobie odebrał.

— Nie może być...

— Poderzwał się tą samą brzytwą, którą golił szanownego pana. Widziałem go... taki straszny... Brr... aż mi się słabo robi, jak sobie przypomnę.

— Ale z jakiego powodu?

— Czy ja wiem? Ot, strzeliło mu coś do głowy... Bo to, świeć, Panie, nad jego duszą, ale szanowny pan mógł sam przecież zauważyć, że mu brakło piątej klepki. Żle, że o nim tak mówię, bo on już na sądzie Boskim — przerwał z zabobonną trwogą, ale...

Wzruszył ramionami, jakby usprawiedliwiając się przed kimś niewidzialnym, kto nas mógł podsłuchiwać.

— I kiedyż to się stało? — zapytałem, oszłomiony tak niespodziewanym i tragicznym końcem biednego pana Adolfa.

— Dziś rano. List do mnie napisał.

Podał mi arkusik uperfumowanego, niebieskiego papieru, na którym koślawami literami było napisanych kilkanaście słów:

„Panie Eustachy! Wszystko w życiu mnie zawiodło, i postanowiłem odebrać sobie życie. Znalazłem się w sytuacji psychologicznej, w jakiej człowiek z godnością może tylko samobójstwem skończyć. W szafie jest letni marynarkowy garnitur... niech pan go sprzeda, to się wyrówna tych parę rubli, com panu winien. I niech pan nie ma do mnie żalu, jeżeli pana czem dotknąłem. Umieram z pogardą dla ludzkości”.

Oddałem panu Eustachemu list, który on złożył starannie i schował do pugilaresu.

— To wszystko przez kobiety — dodał tajemniczo.

— Jakto?

— Oczywiście, nieboszczyk wciąż sobie głowę miłością zawracał i dlatego tak smutno skończył. Bo co to, szanowny panie, całymi dniami o kobietach myśleć... Rozumiem przyjść, swoje zrobić i koniec... Ale, jak kto chce tak odrazu wszystko psychologicznie, to potem albo weksel sfałszuje, albo i jeszcze gorzej — skończy samobójstwem. Ot, jak nasz Adolf...

Umilkł.

— Szanowny pan będzie się dziś golił? — oozwał się nagle po chwili.

— Ano... trzeba...

— Pojutrze pogrzeb. Stary pewnie budę zamknie... wypada, prawda?... — ciągnął, szybko rozrabiając mydło.

— A wie pan co? — odezwał się nagle i umilkł, jakby wahając się dokończyć myśli... Ale potem dodał półgłosem:

— Dziś ciągnięcie. I zdaje mi się, że napewno wygram. Bo to w życiu tak zawsze: jak jednego nieszczęście spotka, to drugiemu właśnie wszystko się dobrze układa. Prawda?

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI.



ODPOWIEDZI

OD REDAKCYI.

Halankowi. Nie dla nas! Zbyt poważne są w wierszach usterki.

Panu H. E. w Płocku. Grosz z roku 1812-go z połyskiem ceni się najwyżej 5 kopiejek. Bez połysku żadnej wartości nie posiada. Poszukiwany jest grosz nie ten, lecz z roku 1813-go, którego istnienie niektórzy numizmatycy podają nawet w wątpliwość.

P. Henrykowi Jaworowiczowi w Milwaukee. Ród L... herbu Grabie istnieje, bardzo przytem rozrodzony. W połowie ubiegłego stulecia np. wylegitymowało się ze szlachectwa przed b. Heroldyą Królestwa Polskiego aż piętnastu członków tego domu, w Galicyi zaś przeszło dwudziestu. Żadnej głównej siedziby ród ten nie posiada obecnie, a nawet wątpimy, czy członkowie jego znają się wszyscy osobiście lub komunikują wzajemnie, tak że w razie potrzeby nawiązania stosunków z całą rodziną dałoby się to skutecznie jedynie drogą ogłoszeń w pismach.

Pani Z. Polera. Obszerna monografia rodziny Z-ich znajduje się w jednym z roczników „Złotej księgi” Żychlińskiego (egzemplarz można dostać do

Z TEKI HUMORYSTYCZNEJ FR. KOSTRZEWSKIEGO.



POMYSŁOWA ELEGANTKA.

— Co mi się tak przypatrujesz?
— Bo nie mogę zrozumieć co ty na siebie włożyła?
— Ubrałam się tanio, wygodnie i modnie: zarzuciłam męża spodnie.

przejrzenia w bibliotece Ordynacji hr. Krasieńskich (Berga Nr. 2). Tam znajduje Sz. Pani wyczerpującą odpowiedź na wszystkie pytania, w liście Jej wy-szczególnione.

P. Chrzanowskiemu w Petersburgu. Nie wiemy, o jakie dodatki chodzi Szanownemu Panu. Jeżeli o „Album Grunwaldzki”, to roczni prenumeratorowie otrzymają go jeszcze w r. b.

Panu G. w Warszawie. Artykuł o teatrze K. Zalewskiego, zamieszczony w numerze 41 naszego pisma, nie wyszedł z pod pióra Cz. Jankowskiego.

P. E. Ligockiemu w Kijowie. Niestety! nie mogliśmy korzystać z uprzejmej propozycji Sz. Pana, gdyż numer czeski był już w druku w chwili nadesłania rękopisów Pańskich.

Studentowi z pod Sierpca. Wierszyki dość zręczne, ale znać jeszcze brak wprawnej ręki. Najlepszy „Ślepiec”, choć i w nim są rymy popolite (*serdecznością—skrytością*), lub pozorne (*zapachy—watahy*). Trzeba jeszcze dużo pracować nad formą.

P. A. Wiel. w Złobyczach. Bardzo słabe pod każdym względem!

P. Ignacemu Jell. I owszem. Czyniąc zadość Pańskiemu życzeniu, „zamieszczamy” jeden z Pańskich „utworów” na tem miejscu, gwoli ucieście naszych czytelników. Oto wiersz p. t.: „Zrozumieli się”.

Pytał ojca malec—

—Co miał suchy palec:

„Czy jesteśmy zdolni,
Być we wszystkim wolni?”...

Na to ojciec rzewnie:

„Zginasz palec pewnie?...

—Dziękil... (Malec powie)—

—Mam odpowiedź w głowie!

NADESŁANE.

KALODONT
Niezbędny krem do zębów
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.
Żądać wszędzie

SRODKI do ZĘBÓW
ELIKSIR, PROSEK i PASTA
Ojców
BENEDYKTYNÓW
Opactwa SOULAC

WAŻNA UWAGA:
Flakony eliksiru Benedyktynów nie opatrzone plombą komory celnej rossyjskiej powinny być uważane za podrobione.

MODEL FLAKONU

G. G. LARDELLI CUKIERNIE
Fabryka Czekolady
Bođuena 5, Nowy-Swiat 27, Marszałkowska 68.

KSIEGARNIA FR. RACZKOWSKIEGO W LUBLINIE, Krak.-Przedmieście 36
przesła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

w Warszawie i Lublinie

i G. Gebethner i S-ka w Krakowie

POLECAJĄ OSTATN. WYDAWNICTWA POWIEŚCIOWE:

Berent W. Próchno. Powieść współczesna. Wyd. II e.	2.—
Czyński J. Jakobini polscy. Powieść z r. 1830.	1.—
Gilński K. Złoty Króla Jegomości. Powieść obyczajowa z czasów Jana Olbrachta.	1.20
Jaroszyński T. Doktor Tomasz. Powieść.	1.20
Jeleńska E. (Dmochowska). Bociany.—Pantofelki.—Modliwa Janwigi.—Bajka.—Tryumfator.—Przy lampie.—Znak zapytania.—Przed świtem.—W dzień patrona.	—,90
Jesko-Choński T. Błyskawice. Powieść historyczna z czasów rewolucyi francuskiej.	1.50
Kraszewski K. Humoreski.	1.—
Miciński T. W mrokach złotego pałacu czyli Bazylisa Teofanu. Tragedya z dziejów Bizancjum X wieku.	2.50
Ostrowski Nałęcz Stan. Zarzewie. Powieść historyczna z czasów Księstwa Warszawskiego.	1.50
Prus B. Dzieci. Powieść.	1.80
Reymont Wł. St. Chłopi. Powieść współczesna: I. Jesień, II. Zima, III. Wiosna, IV. Lato. Cena każdego tomu w ozd. oprawie	1.50 1.90
Rodziewiczówna M. Byli i będą. Powieść z niedawnej przeszłości.	1.50
— Dewajtis. Powieść współczesna uwieńczona na konkursie „Kurjera Warszawskiego”. Wyd. 3-cie.	1.—
— Hrywda. Powieść. Wydanie II-gie.	1.—
— Klejnot. Powieść. Wyd. 3-cie.	1.—
— Kwiat lotosu. Powieść. Wyd. III-cie.	1.—
— Rupiecie. Nowe. Wyd. 2-gie poprawione.	1.—
— Straszny Dziadunio. Powieść. Wyd. IV-te.	—,60
Sienkiewicz H. Dwie łaki.	1.50
Sieroszewski W. Małżeństwo. Być albo nie być. Tułacz.	1.80
Urbanowska Z. Wszchemocni. Kartka wycięta z kroniki miasta powiatowego. Wyd. IV-te 2 tomy.	2.—
Weyssenhoff J. Dni polityczne. Serja II (r. 1905—1906) W ogniu.	1.—
Wyspiański Stan. Skalka. Dramat w 3 aktach.	1.—
— Wesele. Dramat w 3 aktach. Wyd. IV-te.	1.60
Zabojcka M. Gromnice. Powieść.	1.20
Zapolska G. O czem się nie mówi. Powieść współczesna.	1.80
— Sezonowa miłość. Powieść współczesna. Wyd II-e	1.50
— Wodzirej. Powieść. Wyd. 2-gie.	1.50
Zbierzchowski K. Literat. Powieść.	1.20
— Malarze. Powieść.	1.20
Zdzichowski K. Przemiany. Powieść 2 tomy.	2.—
Zmijewska E. Dola. Powieść. Z przedm. E. Orzeszkowej.	1.60

J. WAPIŃSKI MAGAZYN JUBILERSKI Krakowskie-Przedmieście Nr 19
dom własny

S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca: Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

L. Lipiński { Magazyn i Fabryka Wyrobów Jubilerskich Tel. 75-12. } **Brylanty, kolorowe kamienie i perły oraz biżuterya złota i srebrna w najnowszych fasonach. Srebro stołowe, gładkie i stylowe.** Firma egz. od 1875.

ODPOWIEDZI

I RADY POUFNE DLA PAŃ.

Białej mewie i Murzynce. Prosimy o adres, na tyje różnorodnych pytań łatwiej nam odpowiedzieć listownie.

Narcyziowi. Włosy usunie *Depilatoire*, reszta listownie, jeśli otrzymamy dokładny adres.

Samotnej Brodawek nie ruszać, iść do lekarza-operatora. Na trzaskanie w kolanach również tylko lekarz poradzić może.

Dla Anielki. Łupież usuwa i wstrzymuje wypadanie włosów natychmiastowo *Tetral Tissota*. Farbować można *Sublimiorem*. Jednego dnia użyć *Tetral* według przepisu, a drugiego farbę.

H. I. E. Z. X. Cen podawać nie możemy, prosimy zwrócić się do którejkolwiek perfumeryi, tem bardziej, że prawie w każdym numerze wzmiankujemy, jako dla wygody naszych czytelniczek dwie perfumerye zgodziły się na wysyłanie zalecanych przez nas środków, mianowicie *Perfection*, *Szpitalna 10* i *Paszkowski, Marszałkowska 109, we Lwowie E. Pawłowski, ul. Sykstuska 43.*

Rekonwalescentce. Na wychodzenie włosów odpowiedź, dana wyżej, może być zastosowana do Pani, na rozdzwajanie włosów w końcach tylko olejek *Hel* radykalnie pomaga. Trzymać się ściśle przepisu.

Ciekawskiej. Trwale usta barwi *Roseina* i ołówek *Welda*. Cen nie podajemy.

Dla Haliny. Na zmniejszenie biustu mydło *Gossa*, ściśle podług przepisu. Ręce wybieli i wypieści *Pate des Prelats Ponsarda* i rękawiczki kosmetyczne nie nasycane. Jeśli odmrożone, prosimy o adres, odpowiemy listownie.

Irenie Or. Myć włosy mydłem *Alkalicznem*, dobrze splotać, aby się dobrze układały i nie rozsypywały, *Brillantina krystaliczna*.

Sfinksiowi. Na gładką cerę, bez wrzutów i liszai tylko *Abarid*, który jednocześnie chroni od tworzenia się zmarszczek. Myć się mydłem *Neutralnem*. Czerwonosc nosa usunie *Nezalina*.

Śmiesznej. W dzisiejszych odpowiedziach jest podany radykalny środek na włosy, *Abarid*, drobne zmarszczki rozprowadzi wkrótce, silnie zarysowane fałdy również, lecz przy długim, systematycznym używaniu.

Wdzięcznej. Do lekarza.

Aldonie. Na ogólne schudnięcie mało pić, zup nie jadać, mącznych potraw i strączkowych unikać, chleba mało, dużo chodzić. Ciepłe wanny często, obmywać całe ciało mydłem *Alkalicznem*, a biust mydłem *Gossa*.

Wybrednej. Prześliczne gorsety, wspaniale odrobione, nadające zgrabną figurę nawet niezbyt dobrze zbudowanym osobom, wyrabia paryska firma *Dutoit et Comp.*, mająca filię swą w Warszawie przy ulicy Wierzbowej 8, w domu dochodowym Teatrów.

Nieszczęśliwej. Ton listu pani nadaje się bardziej do pisma humorystycznego, tam więc raczy Pani zwrócić się o poradę.

Emilce. Zamiast Goldkremu używać lepiej *Creme Psyche*, równie niedrogi. Żółte plamy *Lanol* Nr. 3. *Mercedès*.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

w Warszawie i Lublinie

i G. Gebethner i S-ka w Krakowie

POLECAJĄ:

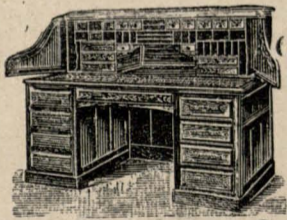
Utwory powieściowe

Wł. St. Reymonta

Chłopi. Powieść współczesna: I. Jesień. II. Zima. III. Wiosna. IV. Lato. Cena każł. t-u rb. 1.50 w ozd. opr.	1.90
Fermenty. Powieść. 2 tomy. Wyd. 2-gie	2.—
Komediantka. Powieść. Wyd. 2-gie	1.50
Lili. Żalosa Idylla. Z ilustr. T. Jaroszyńskiego rb. 1.—	
	W ozd. opr. 1.40
Przed świtem. — Pewnego dnia.— Sprawiedliwie.	1.20
Spotkanie. Szkice i obrazki. Wyd. drugie.	1.50
Trześ: Cień.— Oko w oko.— Franek.— Suka.— Szczyśłwi.— Śmierć.— Zawierucha.— Tomek Baran.— Z wrażeń włoskich.	
Ziemia obiecana. Powieść. 2 tomy. Wyd. 2-gie.	2.40
Z pamiętnika. W jesienną noc.— W porębie.— Przy robocie.— Venus.— Legenda wigilijna.— O zmierzchu.— W głębiach.— Dwie wiosny.	1.20

BOROL

na porę zimową uznano za najlepszy ze środków, chroniących skórę rąk i twarzy od opierzchania.



KOMPLETNE
Urządzenia Biurowe
KAROL F. FIŚER

Warszawa, Mazowiecka 10.



Najlepsza Pasta do Obuwia
H. Trembińskiego

„INTRYGANT”

żądać
wszędzie



L. MARCHOWIECKI Krak.-Przedmieście 23
(vis à vis pom. Mickiewicza)

Poleca: Skórzaną galanterię, przybory podróżne, ozdobne albumy, obuwie letnie, pudła fornerowe, etc. Wyrób własny, ceny niskie.

C. Skoryna

Warszawa-Praga

OLSZOWA 14, Tel. 49.

Fabryka maszyn i kamieni młyńskich budowa młynów, Turbiny, Transmisyje i t. p.

Księgarnie Gebethnera i Wolffa

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

w prenumeracie pism

krajowych i zagranicznych

po cenach redakcyjnych.

KSIĘGARNIA

GEBETHNERA i WOLFFA

w Warszawie

poleca

MONSALWAT

Rzecz o Adamie Mickiewiczu

— Artura Górskiego —

Wydanie drugie rb. 1.50.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

GEBETHNER i WOLFF

PIANINA I FORTEPIANY
W WARSZAWIE
KRAK.-PRZEDM. 17



LUDWIK SZUFA
KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

HENRYK MICHAUX
LEKARZ DENTYSTA Foksal Nr 15.
Telefon 69-80.

ZUZANNA RABSKA

Zanim światła pogasną Rb. 1.60

Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA w Warszawie.

MAGAZYN KRAWIECKI
SZWALBE SACHSKA
ANGIELSKIE PALTA; GARNITURY
GOTOWE; NA OBSTALUNEK
SENATORSKA 8. TELEFON 67.17.

Bracia ŁOPIENSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE Nr 15 Tel. 21.90

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.

Złoty medal na wystawie w Częstochowie
 dawniej
Sternicki i Branicki
 Paweł Haida, Niecała 14 (tamże skład)
 Złoty medal na wystawie w Częstochowie
 Złoty medal na wystawie w Częstochowie
 owianych produktów od-
 żywczych i kawy słodowej
 Owsianą kaszę zdrowia, Owsianą mączkę zdrowia
 Owsiane kakao zdrowia, Kawę słodową zdrowia,
 Dozwolone przez Warsz. Uz. Lekarski za Nr 6230.
 Owsianą kaszę zdrowia, Owsianą mączkę zdrowia
 Owsiane kakao zdrowia, Kawę słodową zdrowia,
 Dozwolone przez Warsz. Uz. Lekarski za Nr 6230.